



PAN ANTONI¹⁾.

I.

— Brzdęc! z jednej — hhuuff!
 — Brzdęc! z drugiej — hhuuff!
 — I znowu swoje: papier do zębów, ładunki zaś w lufy, stępelkiem je trzepnę i znowu swoje.
 — Brzdęc! z jednej i drugiej.
 — I znowu swoje.
 — Brzdęc raz i dwa.
 — I znowu swoje.
 — I z obu znowu!
 — I znowu swoje.¹⁾

I lakoniczność dalszej opowieści pana Antoniego już dalej jego słowami powtarzana być nie może, a i to zresztą, com tu wiernie powtórzył, dopełnionem być musi.

Mały, okrągły, ale w piersiach szeroki i choć siwy już dobrze, dość krzepki jeszcze, pan Antoni, stojąc z nogą lekko naprzód wysuniętą i kijem w rękę, od pasa, zda się, całkowicie skamieniał, aby tchnąć wszystko swe życie, wysłać wszystką swą krew do góry i puścić tam w ruch gorączkowy, nieuchwytny, wszystkie nerwy i mięśnie twarzy, rąk i krtani.

Ręce te, powiedziałbym, śmigały przed oczyma, jak skrzydła wiatraka, gdyby tylko szybkość ich obrotów określić mi należało, ale one niezmordowanie latały w różne strony i podobne były do tej idealnej maszyny, która kiedyś może pracę rąk ludzkich zamieni, dowolnie w dowolnym kierunku wydłużając i skracając swe stalowe ramiona.

A i siłę w te ręce tchnął on teraz niemalą: wątpię czy można byłoby mu wyrwać ów kij, konwulsyjnie ściskany, wątpię czy łatwo dałoby się odgiąć choćby jeden palec, tak kurczowo przyrósł każdy do kija.

Organy głosowe idą o lepsze z rękami. Samo »brzdęc« wyrzucane co chwila, choć krótkie i urywane, wymaga siły nielada, tyle dźwięku i huku wkłada pan Antoni w miłą dlań kombinację sześciu martwych zgłosek, a owo »hhuuff« nie z trzech nędznych, ale z kilkunastu żywych i pełnych składa się dźwięków. W ślad za trzaskiem spuszczonego pułkurcza, zgęszczone *h* kotłuje się i przewala w lufie, wydęte, jak dwie banie, policzki pana Antoniego, sprawiają, że siedzący pomiędzy nimi mały



Jaki Jakób do południa,
Taka zima też do grudnia.



Jaki Jakób po południu,
Taka zima też i w grudniu.



W dzień św. Jakóba chmury —
Będą śniegu fury.



Od św. Hanki,
Zimne wieczory i ranki.



Na św. Annę mrowiska —
Szukaj w zimie ogniska.



¹⁾ Szkic niniejszy jest częścią większej całości. Podając część niniejszą, całkowicie zakończoną, nie przyjmuję na siebie żadnych zobowiązań co do całości, która prędko drukowaną nie będzie. (Przypisek Autora).

i zadarty nosek przybiera formę guzika, banie rosną jednak i pęcznieją jeszcze i już, już, mają pęknąć chyba, gdy rozlega się huk gwałtowny, gwizdże i jęczy kula i z oddali echem słabnącem jeszcze szemrze ci w uszach. Trudno jednak teraz ujrzyć twarz pana Antoniego; wprzód nim on ją odejmie od prawego ramienia, wykonywa jeszcze jedną błyskawiczną czynność. Przechylna głowa kamienieje, lewe oko zamyka się jeszcze szczelniej, ale prawe za to, omal że nie wyskakuje ze swej orbity; promienie zczerniały, rozszerzonej źrenicy ślizgają się po grzbiecie kija; jeszcze chwila i oczy pana Antoniego, już otwarte, oba błyszczą ogniem jaśniejszym, a ręka ściskająca półkurcze, jak z procy, wylata do góry: średni palec razem ze wskazicielem drgają kilkakrotnie i pan Antoni, oznajmivszy co należało, znowu nabija, składa się i »wali«.

Jakkolwiek nie odrazu zdałem sobie sprawę z owego »walenia«, nie przerywałem nigdy panu Antoniemu jego lakonicznej opowieści. Nie widziałem również, żeby i inni często to robili, chociaż zdarzało się to niekiedy, celem pośmiania się nad zawstydzoną fizyognomią zapalonego narratora.

Pan Antoni w razie przerwy podobnej zupełnie nie wiedział, co robić ze sobą, jak przerwać sobie wątek myśli tak spójnie i organicznie w umyśle jego sformułowany, mówiąc krótko, głupiał on wtedy i długo, długo wodził wzrokiem rozpalonym po śmiejących się fizyognomiach obecnych, zanim zgasł w oczach jego płomień wspomnieniami rozniecony i zamglony, posmutniały wzrok jego ujrzał nareszcie przed sobą inną zupełnie rzeczywistość. I rzecz dziwna, człowiek ten z gołębią duszą, ale prędki i popędliwy, człowiek, który gniewał się nieraz o byle omyłkę w kartach, wprowadzie na chwilę jedną, aleć zawsze gniewał, tu, gdy śmiech homeryczny tłumiał huk jego wystrzałów, nie gniewał się wcale. Pomimo wielkiego zakłopotania, z twarzy jego biła jakaś przewaga moralna, która pozwalała mu owe figle pobłażliwie oceniać. Pan Antoni tylko smutniał wtedy.

— Ee, dzieciaki, dzieciaki jesteście, — powtarzał dobroduszenie.

Jeżeli jednak, co częściej się zdarzało, nikt mu nie przerywał, żywość i rozognienie jego rosły w stopniu niezwykłym. Z chwilą, w której szybkość działania wykluczała wszelkie szersze komentarze, pan Antoni, wiedząc zresztą, że słuchacze, już dostatecznie objaśnieni, rozumieją o co idzie, ograniczał się do jednosylabowych wykrzykników.

— Hhuff! hhuff! — wylata już bez przerwy i wytchnienia, gdy ręce błyskawicznie latają do urojonej ładownicy, zęby odgryzają, stępelek przybija oba ładunki i pan Antoni składa się i »wali«, nieodmieniając obwieszając rezultat każdego wystrzału wyrzuceniem palców do góry. Pot kroplisty zrasza mu natenczas czoło, wystrzały rzadnieją, pan Antoni jednak pracuje jeszcze wytrwalej i dość rzucić okiem na niego, aby zrozumieć stan rzeczy. To rozpalona dwururka nie pozwala na częstsze strzelanie i mistrzowsko prowadzone opowiadanie zmusza pana Antoniego do zwolnienia akcji. Nie próżnuje on jednak, tylko dwururka częściej przelata z ręki do ręki, pan Antoni przedmuchiwa ją, chłodzi i dzięki temu zyskuje jednocześnie możliwość rozpoczęcia finału opowiadania; pierwsze słowo które pan Antoni wymawia, wskazuje, że zbliżamy się do końca.

— I tak — zaczyna on, a głos drży mu wyraźnie — hhuff! hhuff! i tak — powtarza, jeszcze staranniej przykładając głowę do ramienia, jak gdyby ukryć chciał swą twarz przed światem, — waląc i waląc, sięgam ręką do ładownicy. Jezusie Nazareński?... pusta!... przerzucam dwururkę w lewą, przeginam się w bok i podając w tył trochę, wyciągam prawą do Franka, który o jaki sażeń stał cokolwiek w tyle koło mnie — wymawia pan Antoni tchem jednym i gwałtownie odrzuciwszy prawą nogę od siebie, zgina ją w kolanie, kładąc na niem tułów, wyciągnięty z lewą nogą w prostą linię. Rozkrzyżowane ręce chronią od upadku tę dziwną figurę, w której środkowa część ciała zupełnie jakoś zanika, a wielka głowa, stercząc bezpośrednio nad kolanem jeszcze większą się wydaje.

— Wyciągnąłem — powtarza tymczasem pan Antoni, i czy to w skutek wysiłku wielkiego, czy podniecenia silniejszego, wyraźnie słychać jego ciężki oddech — wyciągnąłem, — powtarza raz jeszcze — i krzyknąłem: »A rzuć mi Franku garstkę!«

— Krzyknąłem i czekam.

— A prędzejże u diabła, wrzasnąłem już wreszcie i dopiero, jakby mnie co tknęło, odwracam głowę i ogładam się za siebie.

I głowa maluczkiego człowieka, stercząca nad kolanem, z wysiłkiem nadludzkim utrzymując się w swej niezwyklej pozie, odwracała się ku słuchaczom, a ile uczuć wybijało na twarzy owej głowy wielkiej — opisać niepodobna.

Sila i potęga owych uczuć sprawiają, że pan Antoni znika mi z oczu zupełnie, przybierając kształty człowieka nie większego od swej nogi do kolana, tylko głowa jego staje się przerażająco wielką, a twarz, którą teraz widzimy, skupia w sobie, jak w ognisku wszystką moc, wszystkie uczucia tego silnego człowieka.

I twarz ta straszna teraz nietylko swą potworną wielkością; oczy w tył wywrócone, nie ukazują już źrenic i widnieją tylko białka, krwią nalane, a każdy muskuł jego oblicza płonie walką, zionie dziką męzką energią.

Cóż to jednak za zmiana raptowna? Czy nie osłabł pan Antoni z wysiłku zbyt wielkiego? myśli każdy i zbliża się mimowoli do niego. Ale nie, pan Antoni stoi na swej nodze jak z kamienia wykuty, tylko twarz jego pokrywa się w oczach przeźroczystą powłoką przerażenia wobec ciosu jakiegoś niespodzianego, który nawet i we wspomnieniach, nawet dotychczas tak widocznie razi go swym strasznym ostrzem.

Jak jadę gadu dotknięty drga on i zrywa się z miejsca, a powiódłszy w okół dzikim wzrokiem, z jękiem zakrywa twarz rękami.

I stoi on jedno mgnienie, jak gromem porażony, zbyt silny, aby miał upaść pod ciężarem, który na niego spada, i gniecie go swym ogromem, pan Antoni jednak kurczy się, nogi gną się pod nim i on prawie przysiadła przed słuchaczami.

Trwa to jednak również mgnienie tylko, pan Antoni zrywa się znowu i chwytając najbliższ stojącego za ramiona, wpija się weń nietylko rękami, które chwytają jak kleszcze, ale i wzrokiem swym obłąkanym.

I upływa kilka sekund długich, w ciągu których twarz jego łagodnieje wyrazem boleści rzewnej i głębokiej, nie tylko usta, ale i zmarszczki na starej twarzy drżeć zaczynają wyraźnie i ustami otwierającymi

się kilkakroć bezdźwięcznie, pan Antoni szepcze wreszcie jedno jedyne słowo:

— U...ciekli.

Pan Antoni przerywa swą opowieść. Z wierną dwururką na ramieniu, głową zwisłą na piersi, maszeruje on z kąta do kąta. Człowiek nie maszyna przecie, uczuć wezbranych nie ujmie hamulcem, więc i pan Antoni maszerować musi dość długo, zanim głos odzyskać zdoła.

— Jak tego Boga wielkiego kocham — wymawia on wreszcie, przystając i podnosząc dwa palce do góry, — uciekli.

— Uciekli wszyscy — dodaje jeszcze dobitnie i powoli i wyrusza w marsz nowy.

— Żeby ojciec rodzony, to, rozumie się, nie, bo ani ja sędzią ojca byćbym nie mógł, ani ojczysko pocziwy nicby podobnego nigdy nie przypuścił, ale żeby tak brat rodzony był mi powiedział: że tak będzie, że tak być może, a toż w lebbym mu, Boże odpuść, jak psu palnął, — ciągnął znowu pan Antoni, trzęsąc groźnie dwururką i maszerując bez przerwy.

Rosnące oburzenie znakomicie spółdziłał odrodzeniu jego żywości i energii. Pan Antoni zdwojonym krokiem przebiega pokój kilka razy i »Więc«, z którym zatrzymuje się znowu, już po dawnemu dzwoni w uszach.

— Więc, cóż się okazuje? — ciągnie on już żywo, wystawiając lewą pięść, z wielkim palcem, podniesionym do góry.

— Więc... okazuje się, że ja nie słyszałem, kiedy oni uciekli i to jest raz.

— I?... — i pan Antoni, szeroko rozstawiając nogi, uderza dwururką po palcu, — co jest ciekawsze i jest właśnie dwa: ja, sam jeden, w ciągu jakich piętnastu, a może i całych dwudziestu minut, utrzymałem jakich stu, a może, bo dyabli ich wiedzą, ilu ich było, może i dwustu ludzi.

Pan Antoni prostował się, jak struna, podnosił głowę, kładł dwururkę na ramię i jeszcze przechadzał się parę razy.

— Ale nie tu koniec przecie — rozlega się znowu głos jego, — bo żeby był koniec, nie gadałbym teraz z wami, ale byłoby ot — i ręka pana Antoniego oznajmiała co należało, — stało się jednak inaczej.

— Kiedyś się obejrzałem, zobaczyłem i zrozumiałem, jak kulą w serce rażony, oślepiłem, ogłuchłem, oniemiałem. Nic nie widzę, nic nie słyszę, język mi zdrętwiał, ręką tylko, jak niemowlę wyciągnął, samnie wiem do kogo.

— Pierwsze oczy mi przejrzały. Smugą szeroką światło niebieskie uderzyło weń z góry, ale już boję się spojrzeć w oko i jak stałem, stoję i podnoszę wzrok do światła. Niebo jasne świeci nademną, wielkie drzewa kiwają głowami, ale jakże cicho strasznie, cicho, jak w grobie, a duszno, gorąco, jak w ogniu...

I patrząc do góry, widzę, że spadają gałęzie i od drzewa, pod którym stałem, oddziela się gałązka ma lutka i powoli, powoli spada na dół za krzak, blisko rosnący. Jak zaczarowany, ja za nią, a tam dolisko stary, ogromny, a w dole — chrustu po brzegi.

W jednym mgnieniu już stałem tam, całą górę chrustu, którego bym kiedy indziej i połowy nie dźwignął, podniosłem ponad siebie; dwururkę do boku, kordelas zaś w zęby, podsunąłem się, jak na brytannie i razem z chrustem, że aż w piersiach mi jęknęło, brzdęk plecami w tę jamę!

— Ledwie zdążyłem się zwalić, ledwie kordelas z zębów na piersi wypuściłem i ręką go ująłem — jakbym na inny świat się narodził, słyszę wszystko: Hhuff! hhuff! jak piorun grom jeden, wichrem burzy szarpamy, grzmi bez przerwy po lesie.

— Leżałem noc, leżałem noc i dzień jeszcze, kiedy podniosłem się z jamy.

— Lusterka nie miałem, żeby zobaczyć, co się ze mną zrobiło, ale nie wypiękniałem chyba, a jeść? bracie kochany, dyabła zjadłbym z rogami!

— Wylazłem tedy, podziękowałem Panu Bogu i ochędożywszy się trochę, dwururkę na plecy, kordelas do pasa, wyruszyłem ku światu.

— Szedłem dobrych mil parę, a może i trzy nawet; wściekły byłem na ludzi, szedłem jak z łańcucha spuszczonego.

I kiedy idę taki podnoszę głowę: chłopiec wyrostek przede mną.

— Chodź ino tu, chodź — krzyknąłem, — chwytając go za kołnierz i jak nie puszczę go w koło. Pręciłem, com go wyrzucił był przed chwilą, wsypałem mu z piętnaście, zanim chłopaczysko przerażony dobył głosu z siebie. Oprzytomniałem i ja wtedy, puściłem biedaka i powiadam: — Jeżeliś nie podły, zbój, jeść mi przynieś, bom nie jadł trzy dni, a jeżeli nie przyniesiesz, to żebyś mi pod ziemię się schował, znajdę cię i bić będę, jak biłem.

— Chłopiec skoczył, jak oparzony; pomyślałem nawet, że głupstwo zrobił, ale i pół godziny nie przeszło, leci pocziwiec z kobiałką, a w kobiałce dla dwóchby starczyło.

— Eet, ludzie! — śmiał się gorzko pan Antoni, — a chłopaczysko zacności się okazał, żywił mnie dni kilka i kiedy żegnać się wypadło, popłakaliśmy się oba.

II.

Tak pan Antoni zwykł był kończyć opowiadanie o wypadku, który za »najciekawszy« w życiu swem uważał. Dość jednak było posłuchać pana Antoniego, choćby kilka wieczorów, aby zauważyć, że określenie to dokładnem nie było. Pan Antoni lubił pogadać, o niczem jednak nie mówił z taką miłością, tak żywo i gorączkowo, jak o owym zdarzeniu fatalnem i poniekąd szczęśliwem dlań zarazem. O niczem innem tylko o tem jedynie gotów on był mówić w każdej porze dnia i nocy i jakkolwiek nie robiłem próby, nie wątpię, że rozbudzony i zapytany: »A jak to tam było?« — pan Antoni przetarłszy oczy, zerwałby się, skoczył po dwururkę i wiodł rzecz do końca. A jaką prawdą tchnęło każde jego słowo, rozumiał to nawet i najbardziej sceptyczny słuchacz, patrząc na tę twarz zafrasowaną, zziądaną, płonącą ogniem walki lub zasutą kirem wstydu i pohańbienia. Nikomu też i do głowy nie przychodziło wątpić o szczerości jego opowiadania, a jeżeli i był kiedy niedowiarek taki, nigdy nie odważył się wystąpić głośno ze swem wątpliwością, wobec tej wiary naturalnej i żywej.

Ex-wojskowy, syn urzędnika leśnego i sam kiedyś obowiązki podobne sprawujący pan Antoni skończył klas kilka i takim, jakim był, mógł być dzięki wielu innym czynnikom, które nań od dzieciństwa działały, lub z którymi go życie późniejsze zetknęło. Miał on rodziców zacnych, miał ogólny wpływ epoki żywej, wyrabiającej charaktery, ale i inni to mieli, a jednak i przy wielu dodatkowych jeszcze, bardziej sprzyjających warunkach, takimi, jak pan Antoni, nie

byli. Pan Antoni bowiem był człowiekiem w szerszym, szlachetniejszym znaczeniu tego słowa. Ze sfery, do której należał urodzeniem, wykształceniem i stanowiskiem, wyróżniał się on, nie jak koń rasowy wyróżnia się z pomiędzy swych prostych, przygnębionych życiem i pracą, braci, ale owem czemś, co jest najdroższym dobytkiem wiekowej pracy ducha ludzkiego, zadatkiem i nadzieją jego lepszej doli. Niedosć bowiem, że myślał on szlachetnie — szlachetne myśli przychodzą do głowy i złym ludziom, — pan Antoni, co ważniejsza, wtedy właśnie, w chwilach, w których interesy ciała biorą górę nad duchem i istoty, tytułujące się ludźmi, okazują się samozwańcami istot rozumnych, życie swe wedle swego myślenia szlachetnego regulował.

Zasadniczą cechą, głównym rysem jego charakteru była niezwykła miękkość, czułość niewieścia ku wszelakiemu prawie stworzeniu, wyjątkowo upośledzonemu, powtarzam »wszelakiemu«, gdyż sfera jego sympatii wychodziła daleko poza koło istot ludzkich, obejmując liczny świat zwierzęcy; podkreślam jednak *prawie*, gdyż pan Antoni, jako leśnik urodzony, był zapalonym myśliwym i wszystko, co na polowaniu zabitem być mogło, zabijanem przezeń było bez litości. Gdyby nie owa dziedziczność żyłki myśliwskiej, nie wątpię, że pan Antoni wobec najtłuszciejczych zajęcy i najgłuchszych głuszców stałby z tą bezbronnością z jaką stawał wobec dzieci i ludzi praktycznych, jednakowo zdolnych do najnielitościwszego eksploatawania osobników podobnych.

Znakomici obserwatorzy drobiazgów życiowych, a więc i najbardziej przez nas ukrywanych cech naszego charakteru — dzieci — pierwsze ukazały mi ową, najwydatniejszą cechę pana Antoniego. W domu, w którym mieszkał, był on zupełnie zawojowany przez dzieci, które robiły z nim wszystko, co tylko zechciały. Nie zwracałem na to uwagi, dopóki nie zobaczył pana Antoniego w roli »prawdziwego konia«, narzuconej mu przez czteroletniego malca. Z długim sznurkiem w ustach, starych butach na rękach, biegał on w około pokoju, stukając »wszystkimi czterema« nogami, wierząc i rżąc »prawdziwie« popędzany również i biczem »prawdziwym«. Pan Antoni czerwony jak rak, tłómaczył się zupełnie seryo:

— Sprytny urwis, zażył mnie z mańki: »wszystkich proszę — powiada z płaczem — i nikt mi nie chce tego zrobić,« więc na takie dictum, kiedy i szalopucie się nie odmawia, jakże oto takiemu odmówić?

Biegli w sztuce życia ludzie praktyczni, doprowadzający zdolności obserwacyjne dziecka do artyzmu prawdziwego, jeszcze prędzej poznali się na panu Antonim.

W czasie kiedy poznaliśmy się, tracił on, a raczej grabiono mu po raz trzeci niewielkie mienie, rezultat ciężkiej kilkoletniej pracy w kopalniach złota. Cała ta operacja nie trwała zwykle i roku i odbywała się w sposób bardzo prosty. Przyjęty do domu państwa X. jako »towarzysz zacny«, dopóki »nie wykluje się dłań co odpowiedniego« p. Antoni, otaczany pieczołowitością nie braterską, ale synowską, otwierał na oścież swą kieszeń i dopiero gdy ręka gospodarująca w owej kieszeni miarkować zaczynała, że gospodarka podobna długo już nie potrwa, przyjaźń, okazywana starcowi, raptownie, jak pod powiewem mrozu stygnąć zaczynała. »Drogi, kochany« stawał się »niedołęgą, do niczego, samochwalcą, łgarzem« — wreszcie z zimną krwią wyrządzano mu obelgę za obelgą w sposób taki, że poczuć nie mógłby jej tylko głupiec, przyznać

się jednak do wyrządzanej mu krzywdy mógłby chyba waryat. Rozumiał to dobrze pan Antoni, znosił wszystko czas jakiś w milczeniu, jak gdyby przeświadczał się czy się nie myli i przeświadczywszy, zbierał manatki, dziękował za gościnność i wyjeżdżał do tajgi, aby zacząć tam na nowo swą syzyfową pracę. Spokój, który przytem zachowywał, był wszystkim, czem karmił brzydką chciwość ludzką.

Dopiero wiedząc o tem, można było zrozumieć odpowiedź, udzieloną przezeń z powodu jego pobłażliwości zachciankom dzieciennym. W odpowiedzi tej zawarł on kwintessencję swego niezłożonego, ale szlachetnego myślenia, ujawnił, że bezbronność jego wobec drapieżnych instynktów świata nie jest zwyczajną ślamazarnością człowieka bez charakteru ale w znacznej mierze wynikiem dość określonych i konsekwentnie przezeń w życie przeprowadzanych zasad i pojęć.

Otóż jeżeli ziarna owych pojęć otrzymał on od rodziny i społeczeństwa, ostateczne sformowanie takowych odbyło się pod wpływem wstrząsającego wypadku. Wtedy w ogniu bólu i hańby pojęcia owe skryształizowały się w metal szlachetny, wyrzucając precz brudy w żuźle spalone.

Kto wysłuchawszy opowiadania pana Antoniego, nie zrozumiał odrazu wielkiego nań wpływu owego zdarzenia, ten łatwo mógł się przekonać o tem, przysłuchując się jego zachowaniu się w czasie rozmów i sporów górskich.

W rozmowach takich nigdy nie brał on udziału czynnego, ale nigdy też w ważniejszych przynajmniej nie był i stroną zupełnie bierną. Wysłuchiwał on w milczeniu zdania różne i pod koniec zdobywał się na jedyny stereotypowo przezeń powtarzany frazes:

— Racya, racya, dobrodzieju! najzupełniej z tobą się zgadzam, bo i ja tak właśnie o tem myślałem, leżąc sobie w jamie.

I rzecz dziwna. Okazywało się, że mało było kwestyj ważniejszych, o którychby on nie mógł sobie przypomnieć, że myślał o nich i myślał tylko wtedy właśnie.

Mylił się więc pan Antoni, tytułując ów wypadek »najciekawszym«, był on w życiu jego *najważniejszym*, zasadniczym, zwrotnym, był wypadkiem, który raz na zawsze naznaczył go tem piętnem szerszego człowieczeństwa, co raz nałożone, nie ulega działaniom najbardziej rozkładowych pierwiastków szarego życia powszedniego.

W jaki jednak sposób to wszystko w nim się odbyło, można było domyślać się tylko z niewielu wskazówek. Pan Antoni tak szczodry w opisywaniu całego zdarzenia przed wejściem i po wyjściu ze swego ukrycia, zupełnie tracił język, gdy rzecz dochodziła do samego leżenia w owej jamie. Na wszystkie najostrożniejsze pytania: o czem i jak to on tam myślał? pan Antoni odpowiadał krótko:

— A myślało się, myślało się i o tem, i o owem.

Mówić z panem Antonim o jakichkolwiek bądź kwestiach teoretycznych było dość trudno; wykształcenie jego było niedostatecznym, a i te wiadomości, jakie kiedyś w szkole posiadał, tylko bardzo nieczęsto odświeżane jakąś ciekawą powiastką historyczną, dawno już mu z głowy wywietrzały.

Zmusić go więc do mówienia zapomocą zainteresowania jakimiś rozprawami już z powyższego względu było nie łatwo, a fakt, że pan Antoni w za-

dne dociekania się nie wdawał, cały bowiem świat jego pojęć zjawiał się w nim jako wytwór całkowicie i harmonijnie zakończony, zupełnie przymus podobny uniemożliwiał.

Wyjątkowo czemś zainteresowany pan Antoni sięgał pamięcią do owego leżenia, jak my sięgamy po różne księgi informacyjne, odnajdował, co wówczas w głowie jego zapisanem zostało i wygłaszał bez pretensyi na nieomyślność krótko i węzłowato. Myśleć nad czemś nanowo pan Antoni nie chciał, a właściwie nie mógł, gdyż musiałby przerabiać i burzyć w swej głowie to, co już odeń zależnem nie było.

Że jednak pan Antoni o swem myśleniu przymusowem dotychczas pamiętał, że w formie krótkich maxym i przykazań wyniki owego myślenia dotychczas zachował, mówiło to wiele. Udawadniało to wyraźnie, że umysł pana Antoniego był wówczas zmuszonym do tak szerokiej i samodzielnej pracy, jakiej ani przedtem, ani potem nigdy już nie przedsiębrał.

Wszystkie wrażenia, wszystkie ślady jakichkolwiek myśli w mózgu młodym istniejących, musiały wystąpić na widownię wtedy, gdy silny, rozogniony walką, rwący się do czynu organizm, leżał obezwładniony, a wielkie moralne wstrząśnienie i zagadkowość sytuacji zmuszały do stawienia pytań i rozwiązywania takowych.

Młody i wrażliwy człowiek musiał skierować wszystkie swe siły na jedyne dostępne dlań pole myśli i dociekań oderwanych i skierowawszy dojść do skojarzeń arcyzłożonych, które istniały w jego umyśle nieokreślenie, bezwiednie, jako materiał surowy, co nie odświeżony, nie pogłębiony tą pracą wielką, byłby wywietrzał, jak wietrzeje z tyłu głów i dłużej i lepiej do myślenia przytowanych, niż to było z głową pana Antoniego.

Pojęcia w takim stanie ostatecznie uświadomione wrzynały się w umysł młody, jak wrzyna się spiż gorący w najdrobniejsze zakręty formy glinianej, paląc i pogłębiając ledwie widzialne ślady z taką siłą, że pozostać już one miały nadługo, do końca żywota pana Antoniego.

Że praca myśli, podjęta wówczas przezeń była niemałą, potwierdzał to i on sam niedwuznacznie, gdy na uwagę »że napróżno powołuje się na to, co kiedyś myślał, gdy mowa o tem, co się teraz myśli«, odparł dobrodusznie:

— Eee, mój dobrodzieju! a to widzę, dobrze mi życzysz? — i zastanowiwszy się chwilę, dodał powoli:

— Gdyby mi tak i teraz jeszcze myśleć nad tem wypadło, nad czem wtedy myślałem, bziaka dostałbym święcie.

III.

Uprzywilejowane stanowisko pana Antoniego w domu p. X. wkrótce uległo spodziewanemu przeobrażeniu i przyjętym obyczajem dawno już byłby on wyjechał do tajgi, gdyby nie jakieś nieprzewidziane okoliczności, które zatrzymywały go na miejscu. Obdarzony czuciem delikatnem pan Antoni zwykle w czasie właściwym rwał słabnące węzły i zwłoka niespodziana najgorzej teraz podziałała na jego stosunek do swych niedawnych przyjaciół.

Niezdolny do prowadzenia drobnej wojny do mowej pan Antoni z góry kwitował ze wszelkiego oporu, zdając się na łaskę i niełaskę nieprzyjaciela.

ROMAN KOCHANOWSKI.



ŚMIECIARKA.

Nieprzyjaciół jednak był zbyt niewspaniałomyślnym, — tak niewspaniałomyślnym, że jakkolwiek przelotnie, chwilowo tylko, ale nieraz boleść prawdziwa wybijała na twarzy pana Antoniego. Nawet tak niewłaściwe, z całym jego usposobieniem sprzeczne błyski goryczy zjawiały się w oczach, tak jasno i pogodnie patrzących na cały świat boży.

W chwilach tak przykrych uciekał on ze swą wiarą i nadzieją nigdy nie słabnącą do swego serca młodego i kładł pasyanse arcyzłożone, których umiał moc wielką i za pomocą których odgadywał jedną jedyną ciekawą dlań zagadkę: czy zobaczy on kiedy swe lasy mazowieckie?

Pasyanse niemiłosiernie malwersowane zawsze wychodziły i pan Antoni, zapominając o troskach codziennych, weselej spoglądał na świat i ludzi. Zastawszy go raz przy jednym z najtrudniejszych i zwykle tylko za pomocą kunsztownych nadużyć szczęśliwie do końca doprowadzonych pasyansów, czekałem cierpliwie końca, gdyż witać się wówczas z nim można było, ale bez skutku. Zagłębiany w badania ciemnej przyszłości pan Antoni podawał wprawdzie rękę, spoglądał nawet na wchodzącego, nawet i odpowiadał czasami, ale wykonywał to automatycznie, gdyż w rzeczywistości nic nie widział i nie słyszał koło siebie. Pasyans ów, kładziony w chwilach największego rozgoryczenia i, jak to rzekłem, nigdy w mojej przynajmniej obecności bez forsownych nadużyć nie wychodzący, dziwnym zbiegiem okoliczności wyszedł jakoś szczęśliwie i najuczciwiej — i błogość prawdziwa rozlała się na twarzy pana Antoniego. Długo wpatrywał się on w szeregi i kupki kunsztownie porozkładane i im dłużej trwało oglądanie kabalistycznej wyroczni tem bardziej potęgowało się wrażenie pierwotnie otrzymane. Pykanie z lulki krótkiej, zwykle w ustach w czasie rozkładania pasyansu trzymanej i często wówczas gasnącej, szło teraz tempem przyspieszonym. Z lulki wałyły kłęby iskier i dymu i wyglądająca z poza owych kłębow twarz pana Antoniego świeciła już nie radością dziecinną, ale rozrównieniem uczucia głębokiego, zwykle dobrze utrzymanego na wodzy. Nie przewidując wcale poważnych, jak się okazało, następstw swego kroku, udawałem, że patrzę na to wszystko obojętnie i nie bez ironii proponowałem panu Antoniemu położenie drugiego pasyansu.

— A to na co? — zapytał on tak szczerze, że o małym nie cofnął swej propozycji.

— Dowiedzieć się, zkąd pieniądze na ową podróż nadejdą.

Ku wielkiemu memu zdziwieniu odpowiedź ta nie zrobiła żadnego wrażenia. Przeciwnie, z poza kłębow dymu nietylko po dawnemu wyglądała twarz promieniejąca rozrównieniem, ale w oczach tej twarzy, w poruszeniach wąsów dość okazałych, zaczęło przebiegać coś w rodzaju owej figlarności, błyszczącej w oku dziecka, gdy z zakrytą do połowy głową szczebiocze bez przerwy: »tiu-tiu dziecię!«. Tak, wątpić trudno. Im dłużej wpatruję się w p. Antoniego, tem wyraźniej i oczy i wąsy jego powtarzają mi: »tiu, tiu, dziecię!«. Żywość jednak i ruchliwość jego nie pozwalają mu pozostawiać mnie zbyt długo w niepewności; jak z procy wyskakuje on z za stołu, pędzi do drzwi jednych i drugich, wygląda — i zadowolony z oględzin, biegnie ku mnie, zdaleka obydwoma rękami nakazując mi nieruchomość i milczenie. Milczę naturalnie i stoję jak wryty.

Podbiegłszy ku mnie wspina się on na palcach,

chwyta za szyję, przyciąga mą głowę ku sobie i zapytuje cichutko:

— Słuchaj, człowieku, przysięgniesz, że mnie nie wydasz?

— Przysięgam.

— Ale ba! »przysięgam«, jak orzech zgryzł! Słuchajże, bracie, to nie żarty przecie, przysięgasz szczerze, uroczyście?

Przekonany wreszcie, że w należytem skupieniu ducha wymawiam słowa uroczyste, pan Antoni jeszcze raz obejrawszy się wokół i zakrywając najstaranniej garścią usta ode drzwi wyszeptał mi urywkami w samo ucho:

— Mam, braciszku!... mam pieniążki... tylko szaaa!... jeżeli Boga kochasz... bo wyciągną ze mnie... mam kilkaset rubli — i odskoczywszy jak oparzony, znowu oboje drzwi obejrzał i prawil dalej nie podnosząc głosu:

— Nie uwierzyłbym niedoświadczwszy, że takie głupie komedye potrzebne są pomiędzy ludźmi. Z początku też przykro mi było, że i oczu podnieść nie śmiałem. Chodziłem ze swemi pieniędzmi, jakbym cudze ukradł. Ale teraz? Eech, ludziska! Widzę, że dobrze zrobił. Rzeczywiście, sił mi ubywa. X. ma rację, śmiejąc się ze mnie, że jestem głuchy i ślepy, ma rację. To też zastanowiwszy się, odłożyłem trochę na wypadek drogi. Teraz to już nie moje pieniądze. Święte — wymówił pan Antoni, rozstawiając każdą literę i stuknął pięścią po stole.

Od rozmowy powyższej upłynęło kilka miesięcy, w ciągu których pan Antoni wytrwale stał przy powziętem postanowieniu. Nadzieje wyjazdu jakoś stosownie do przepowiedni pasyansu również świtać zaczęły i pan Antoni być może podtrzymywany owemi nadziejami, mężnie stawiał czoło najkunsztowniejszym zakusom, mającym jego kieszeń na celu. Jakkolwiek tedy długa oracya, na którą się zdobył, uzasadniając mi powzięte postanowienie, dość wymownie świadczyła, że sam on czuł chwiejność swej decyzji, zaczynałem już wierzyć, że wytrwa przy niej szczęśliwie. — Dopuszczony nawet przezeń kilkakrotnie do narad, czy nie dałoby się tak lub owak zrobić wyjątku dla jakiejś sumki niewielkiej, jak mogłem i umiałem podtrzymywałem jego chwalebna energię, głosując przeciwko wszelkim wyjątkom. Powoli pan Antoni tak przyzwyczaił się do mojej interwencji, że omal nie zdawał mi rachunku z każdego wydanego grosza. Nie widząc się dłużej, nawet w obecności postronnych porozumiewaliśmy się o stanie rzeczy. Na nieme moje pytanie jedno wąsów poruszenie odpowiadało mi, że *święte* kapitały, w należytem porządku.

Zrozumie tedy każdy z jakim uczuciem, wszedłszy raz doń wieczorem, zamiast zwykłego obrazka, z tła niezmiennego pasyansu występującego, ujrzałem tuż przed nosem swoim rękę pana Antoniego, ku wielkiemu dość odartemu chłopiskowi wyciągniętą, chłopiskowi, wobec którego malusi pan Antoni jeszcze mniejszym się wydawał.

W wyciągniętej ręce szeleściły dwa papierki, chłopu podawane, papierki dwudziestopięcio-rublowe.

Złodziej, trochę sumienniejszy, na uczynku gorącym złapany, wyglądałby zapewne mniej żałośnie, niż pan Antoni, gdy podniósłszy oczy, mnie przed sobą zobaczył.

— Weź, weź! — powtarzał on prędko, zachęcając chłopca do szybkiego załatwienia wszystkiego.

Chłop pieniądze wziął, o odejściu jednak ani myślał. Obejrzał on powoli oba papierki, obejrzał ze stron obu, wypuścił z głębi piersi sażniste westchnienie i wpatrzony w papierki trzymane przed oczami brzdęknał na kolana. Na pana Antoniego nie zwracał on najmniejszej uwagi, nie widział i nie słyszał go zresztą. Wzdychał długo, a coraz głębiej i żałośniej, zanim przemówił nareszcie:

— O, Jezusie kochany! tyła pieniędzy odrazu wywalić, na takiego, jakim ja, chudeusa — to je wielga rzec przecie!?

— Z pokłonem, panisku ty drogi, podyjść do cię na podziękę nie mogę, boś jest tero, jako święty, dla mnie. Klękawsy, przysięgam, ze póki żyć, modlić się za Ciebie będziawa, dobrodzieju nas wielgi. Bo oto je cłek drugi i niech wie naród kto jesteś.

— Kiedy mi przysed papir z powrotem, myślałem w mig się zbierzewa. — Gdzie zaś?! Ja i baba to dwoje, dzieciaków tyz cworo, to seścioro, jak obsuł. Seść gębów do kazdego kawałka, a ręce jedne. No i z rąk walić mi się zaczęło. Siekiera nie siekiera, piła nie piła, jak mnie te myśli jak muchy oblepia, wszycko mi z rąk leci. Przy największej robocie ręce zwisną mi nikięj śnury i tyło. Ocy wytrzeszę i stoję nijak urzecony. — »Andrej znówuj wrony scyta«¹⁾, — śmieją się robotnicy. Oj »scytam«, bo »scytam«, to prawda, tyło nie wrony, a te kopiejkki marne, bo miedziakami tyło składać mogę. Żle. Wtedy ja do swoich. Bez te ćtery miesiące kraj świata obleciałem i wsędy nic, wsędy niema i niema, choć z kamieniem i do wody. Siebie mi nie zal, dzieciaków najgorzy, »poceldonieja«. A ty, dobrodzieju, sam niebogaty, tak scodrze darzys nędzę naszą? O! to tero, do samego Tomska nam starcy, a tam, powiadają na statku i za robotą jechać można. Zara u Achmetki-tatara konia kupię; mierzyna galantego dawno już wypatrzułem i targowałem nawet, ale kiedy upar się i dwadzieścia pięć i dwadzieścia pięć i gadać nie chce. Dam mu tero, mierzyn je chwacki, do Tomska dojdzie na pewniaka i tam jesce kiepsko »cerwony« papierek mi przyniesie. A jak niema przynieść kiedy i ciężaru będzie niewiela, kiedy baba siędzie tez starse chłopaki podlatać mogą, osobliwie, kiedy wdroszą się trocha. A ja juz jakim przysed, tak i pójdę piechty kole nich. Eee! gdzie zaś piechty? na ćterakach dawnobym polaz, zeby nie dzieciaki! A tera wszyscy pódziawa i bez ciebie tyło, bez ciebie, opiekunie ty sierocki, prawdziwy. Konać będę, to dzieciaków jedno tyło, jako święte przykazanie, nakazować będę: »Hycle, módlta się za niego!«

Chłopisko zaszlochał.

— Niechze Cię Bóg ukrzyzowany nagrodzi... — wyszeptał wreszcie, przypadając głową ku nogom pana Antoniego.

Chłop wyszedł, upłynęło już jednak czasu nie-

mało, a pan Antoni ani myśli zaprzestać swego chodzenia. Jak ptak w klatce trzepocze się on w swoim pokoju, w którym ciasno i duszno mu teraz. Jak wolnego mieszkańca przestworów niebieskich, gnioł go cztery ściany i jak ów pierzasty, wysuwający głowę zziąjaną poza pręty ciasnej klatki, aby złapać tchu trochę, tak i on wybiega i do sieni i na podwórze po owo powietrze inne.

Hej, ptaku, próżne wysiłki! Jak nie masz pożądanego powietrza poza prętami klatki, tak nie masz go dla pana Antoniego w sieni, niemasz w podwórzu, niemasz nigdzie, okrom jak gdzieś daleko za chmurami i górami podniebnymi, do których dotrzeć nie łatwo.

I gdy siada on wreszcie, wygląda teraz, jak ów ptak z klatki wypuszczony, co po próżnych wysiłkach wzlecenia ku wyżynom odległym, wchodzi sam pomiędzy ściany, co siły jego wyssały. I w oczach jego, zda mi się, łowią coś, jakby odbłaskiem złowieszczym jego przyszłej doli będące.

Wypowiadam mu tedy wszystko, co mi do głowy przychodzi. Żal mi go. Wypowiadam więc bez ogródek. Barwami czarnymi rysuję mu przyszłość ponurą. Pan Antoni nie tylko mi nie przeczy, ale: — »Tak, tak, prawda, święta prawda« — przyświadcza mi co chwila. Rozdrażniony zapytuję go wtedy, do kogóż on, jak ów chłop rękę wyciągnie, przed kim płakać będzie? Kto wreszcie zrozumie ból jego i kto niewzywany podejdzie doń wtedy, gdy mu z bólu tego może konać wypadnie? Ale pan Antoni poruszony jeszcze głębiej mnie już pocieszać zaczyna:

— Niedopuszczaj-że sobie do głowy, bracie kochany, wielki Bóg miłosierny uchroni nas od końca takiego.

Rozwijam wtedy panu Antoniemu w całej nagości teorię samopomocy.

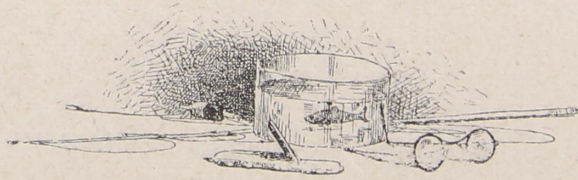
Słuchał mnie pan Antoni dość długo i słuchał cierpliwie. Gdy skończył, chodził jeszcze dłużej, myślał jeszcze cierpliwiej, ważąc widać dobrze to, co miał mi powiedzieć i gdy wreszcie zatrzymał się przedemną twarz jego zwykle tak dobroduszenie uśmiechnięta, tak zda się, z góry potakująca myślom współbiedniaka, a w gruncie rzeczy świadomie czy bezwiednie dostrajająca każdego do pogodnego wyrazu na niej rozlanego — wyglądała teraz inaczej, nie podobna zupełnie nietylko do zwykłej, codziennej, ale i do tej ożywionej tysiącami uczuć grającej fizyognomii opowiadacza »najciekawszego« w życiu jego wypadku. Ruchliwe muskuły, składki i zmarszczki zastygły w pokoju, a oczy, te oczy serdeczne i żywe, patrzyły surowo.

Dopiero teraz zaczynałem pojmywać, że pan Antoni mógł być człowiekiem, którego poza powłoką codzienną nietylko poznać ale i domyśleć się było nielato.

ADAM SZYMAŃSKI.

¹⁾ Zamiast rosyjskiego *szczytajet*, liczy.

(Dokończenie nastąpi).



MÓJ KRAKÓW.

Kolebko ma rodzinna, grodzie pełen chwały,
Gdzie około Wawelu szemrzą Wisły fale,
Gdzie groby moich królów wznoszą się wspaniale,
Ateny, Rzymie polski w tobie świat mój cały!...

Tyś moim!... choćby burze nad krajem szalały,
Jam częśćka twojej ziemi, tobiem wierny stale, —
Twojem tchnieniem me serce i pieśni zapalę,
Aby miłością twoją, jako znicz gorzały.

O dumo mej ojczyzny, ty ziemio krakowska,
Stolico dzielnych Piastów, Jagiellonów mężnych,
Niechaj Ci błogosławi Matka Częstochowska!...

A gdy kiedyś świat runie w posadach potężnych,
Ty Boże stary Kraków przenieś w niebo cudem,
By i tam Zygmunt dzwonił ponad polskim ludem!...

ADAM STASZCZYK.

KOBIECE DOLE.

IV.

PANI URSZULA.

(Ciąg dalszy).

Na to przypomnienie pani Urszula struchlała. Kochała dzieci namiętne przywiązaniem, które w danej chwili ją cicha, spokojna, zahukana, mogło w lwicę zamienić. Córka jej musiała mieć książkę potrzebną.

Przerachowała resztę pieniędzy jakie miała w portmonetce, było ich tak nie wiele, iż na to kupno starczyć nie mogło, więc zbierając całą odwagę poszła do męża, który właśnie zrzucił biurowe ubranie i otulony szlafrokiem zabierał się do snu. Widząc wchodzącą, domyślił się, że powodowała ją jakaś ważna pieniężna potrzeba. Zrobił charakterystyczny gest, obciskając około siebie ubranie, jakby chciał bronić swojej kieszeni, marszcząc przytem czoło na kształt piorunującego Jowisza.

Pani Urszula zadrżała do szpiku kości, przed groźnem obliczem pana i małżonka, i gdyby chodziło o nią samą schowałaby się w mysia jamę, ale stanęły jej w myśli proszące oczy pensyonarki, i te słowa »ja muszę koniecznie mieć książkę«, więc odezwiała się drżącym głosem.

— Na pensyi kazano Zosi kupić jeszcze jedną książkę.

— Co? — zapytał groźnie.

Powtórzyła swoje żądanie ledwie żywa.

— Alboż mało nakupowałem ich — krzyknął — alboż mało mnie kosztujecie! Pracuję jak wół w jarzmie dla was, tylko dla was, ale wszystko ma swoje granice... ja nie mogę, ja wam nie nastarczę. Chcecie chyba żebym kradł.

Był to ostatni argument pana Józefa, argument, który zwykle wywoływał przestרח i lży obfite pani Urszuli. Prosiła go nieraz by oszczędził na czem innem, wziął mniejsze mieszkanie, kontentował się gorszym obiadem, ale on prośby te puszczał mimo uszów — co byłoby zwróciło uwagę kobiety podejrzliwszej — i ciągle powtarzał swoje. Następnie gniewał się jeszcze czas jakiś, wyliczając wszystkie koszta wyłożone na utrzymanie rodziny. Podobne sceny nie były nowością, powtarzały się bowiem peryodycznie, ile razy okazała się potrzeba jakiego nadetatowego wydatku, a kończyły zwykle słowami: »Wieleż tam potrzeba?« Wyrazy te były jakby ostatnim gromem cichnącej burzy. Potem był jeszcze jeden wybuch spowodowany wysokością żądanej kwoty, bez względu czy chodziło o 50 czy o 5 rs. a w końcu pan Józef wydobywał z głębi portmonetki pieniądze, obcinając zawsze coś z żądań żony i oddawał jej twierdząc, że był to ostatni grosz zachowany na jaką czarną godzinę.

Inna kobieta byłaby zapewne urządziła się stosownie, żądała dwa razy więcej niż jej było potrzeba, i nie brała do serca zaklęć, skarg i gniewów, ale dla pani Urszuli mąż był wyrocznią; nie zakwestyonowała nigdy w głębi serca prawdy słów jego. Po każdej takiej scenie, odchodziła drżąca jeszcze, wzruszona, ale pełna wdzięczności, a potem podwajała oszczędności i starania.

Pomimo to jednak, pan jej i władca nie musiał być zadowolony, bo chmury coraz częściej okazywały się na jego obliczu, a godziny spędzane w domu były coraz krótsze, coraz rzadsze. Nawet na obiad, chociaż żona wysilała się ażeby mu dogodzić, nie zawsze przychodził. Nieraz czekano na niego do piątej, i nareszcie nie doczekawszy się zasiadano do stołu, osepionego niepokojem pani Urszuli. Czasem wracał do domu nad ranem dopiero, a ponieważ to zdarzało się coraz częściej, nie chciał by żona czekała lub wstawiała dla przyrządzania mu herbaty. Bo chociaż ona o nic nie pytała, czuł się obowiązany do jakiegokolwiek tłumaczenia. Pani Urszula gryzła się i płakała po cichu, ale nie odważyła się nigdy, robić mężowi wymówki, łagodność jej i słodycz wzra-

STANISŁAW JANOWSKI.



W WIEJSKIEM PRZEBRANIU

stały, pokazywała mu zawsze czoło pogodne, ale czoło to bladło, więdło, krajało się w zmarszczki, a gdy spoglądała na dzieci oczy jej zachodziły łzami.

Chociaż mąż przestał pić herbatę za powrotem do domu, ona nie usnęła nigdy dopóki nie usłyszała jak otwierał drzwi wchodowe i skradał się po cichu do swego pokoju. Nie wiedział, że ona czuwała, a gdyby wiedział, zapewne złałby ją za ten trud niepotrzebny. Bo ostatecznie dla czego to robiła?

W sercu jej pokornem, zgnębionem, obudziła się trwoga. Nie dopuszczona nigdy do zaufania męża, żyjąca w nieświadomości, zależna od jego łaski jedynie, spoglądała w przyszłość z rodzajem lęku; przyszłość ta była zawsze dla niej pełną mgieł. Opierała się jedynie na mężu, gdy więc mąż coraz więcej oddalał się od rodziny i dzieci, a każdy dzień zamiast zacieśniać, rozluźniał słabe węzły jakie ich łączyły, czuła się ogarnioną jakimś niebezpieczeństwem tem groźniejszym, że nie określonym.

Mało miała stosunków ze światem, a jednak zaczęły ją dochodzić wieści jakieś straszne. Widziano jej męża z jakąś kobietą znaną w warszawskim półświatku, mówiono, że u niej spędza czas swój cały, że się dla niej rujnuje. Ona zastanawiała się nad tem, jakim sposobem mógł się rujnować człowiek, który nic nie miał; nie śmiała przecież zadać mu żadnego pytania, a tem mniej uczynić uwagi.

Jednej nocy wrześnieowej daremnie oczekiwała jego powrotu. Godziny za godzinami uderzały na miejskim zegarze, a ona liczyła je przewracając się po bezsennem łóżu, przysłuchując się czy nie doleci ją zgrzyt klucza obracanego w zamku, i szelest jego kroków. Parę razy złudzona niespokojnymi uderzeniami pulsów, podnosiła się, nasłuchiwała i znów opadała na poduszki. Aż wreszcie blade promienie świtu wdarły się do pokoju, świadcząc wyraźnie, że rozpoczynał się dzień nowy. Jego nie było jeszcze.

Pani Urszula zerwała się z łóżka, zarzuciła na siebie ranną suknię i zbliżyła się do okna. Przyszło jej na myśl co powiedzą sługi, dzieci wreszcie, przed którymi nieobecność pana domu ukryć się nie potrafi. Wyobrażała sobie podejrzenia, komentarze, plotki, złośliwe uwagi, i na twarz występowały jej rumieńce wstydu.

Nie, to być nie mogło by on zapomniał się tak zupełnie, by lekceważył nawet pozory; zapewne powróci jeszcze, zanim dzień zajaśnieje. Zapewne ten świt, na który ona patrzyła z takim niepokojem, przypomni mu obowiązki. Może już nadchodził, był bliskim domu. Poranek rozwyrażniał przedmioty; otworzyła po cichu drzwi szklane i wyszła na balkon.

Balkon ten znajdował się na najwyższym piętrze domu, panował nad całą częścią miasta i otwierał przed oczyma szerokie horyzonty. Niebo było pogodne, gwiazdy pogasły przy świetle jutrzeńki, której złotoróżowe promienie rozpościerały się zwycięsko na wschodniej połowie horyzontu, łamały się w mgłach leżących na Wiśle i spowijały, niby obłony, senne jeszcze miasto. Ulica była zupełnie pustą, czasem tylko jakiś turkot daleki, przerywał zupełną ciszę tej godziny.

Chłód poranku obwiał zrozpaczoną kobietę; — oparła się na poręcz balkonu i machinalnie wodziła wzrokiem dokoła. Bo też roztaczał się przed nią widok niezmierny, rozległy, jak miasto całe, które swemi szczytami, wieżycami, kopułami strzelało w górę, przedzierając poziomą warstwę mgły i chwytając na złoczone krzyże kościołów pierwsze promienie słońca.

Ku zachodowi rysowały się smukłe i jasne, na tle nieznikłych jeszcze cieni, gotyckie wieżyczki, zdobiące fasadę katedry; nieco więcej na prawo, po nad tarasami i ciężkimi gmachami zamku, wznosiły się czworogranne wieże, których dachy ciemno-czerwonej barwy zdawały się krwią oblane; bliżej profilowała się cięższa jeszcze fasada kościoła Bernardynów, tworząca od boków ku szczytowi stopnie schodów olbrzymich, a tuż przy niej wznosił się jednostajny, brylowaty sześciogran dzwonnicy z płaskim tarasem, wśród którego bęben szklany, jaki zwykle zakończa kopuły, dźwiga się w górę, jakby na urągowisko wszystkim stylom, świadcząc o niefortunnej fantazyi budowniczego. Najbliżej zaś, na szczycie jakiegoś domu, jaśniała różowa od promieni zorzy porannej balustrada kamienna i białe posągi zdawały się uśmiechać do siebie, rysując delikatne kontury na szarym tle murów kościelnych.

(Dokończenie nastąpi.)

WALERYA MARRENÉ.

EDMUND RÓŻYCKI.

Z dniem każdym zacieśnia się coraz bardziej koło nielicznych już dzisiaj przedstawicieli ustępującego pokolenia, które wysoko niosło sztandar miłości ojczyzny i ofiarą krwi własnej, bohaterskim poświęceniem, stwierdziło niezachwianą wiarę w odrodzenie narodu. W krótkich odstępach czasu śmierć z pomiędzy nas wydziera jednego po drugim z tych bohaterów lub męczenników, którzy wzniosłym przykładem krzepili naród w niedoli, a którymi słusznie chlubią się rówieśnicy.

W dniu 23 maja b. r. zmarł w Krakowie Edmund Różycki, dowódca jazdy wołyńskiej z 1863 r. jeden z najwybitniejszych kierowników ostatniej walki o niepodległość. Dziś, kiedy coraz bardziej zaciera się pamięć o ludziach i czynach, tak jeszcze pozornie niedalekiej, a jednak tak mało znanej epoki, należy pilnie notować daty biograficzne do życiorysów ludzi tej co on miary, albo — choćby krótkiem, jak niniejsze,

wspomnieniem pośmiertnem — pobudzić innych do sumiennej pracy i badań w tym kierunku. Nie wątpimy, że wkrótce znajdzie się ktoś z bliższych Różyckiemu, który nam szczegółowo piękny i szlachetny jego żywot opowie; my ograniczyć się musimy na ogólnym zarysie, jaki ze szczupłych, dostarczonych nam danych, zdołaliśmy ułożyć.

Ś. p. Edmund Różycki, syn generała z 1831 roku, urodził się w r. 1828. Małym dzieckiem, po upadku powstania, wyrwany z pośród rodziny, wychowywał się czas niejaki na Ukrainie, w domu Pilchowskich. Car Mikołaj podczas pobytu w Kijowie kazał odszukać młodego Różyckiego, a gdy mu go przedstawiono, przyrzekł zająć się losem nieletniego chłopczyka, »choć — jak dodał — wie, że robi zeń buntownika«. Z rozkazu cesarskiego umieszczono tedy Edmunda w korpusie kadetów, gdzie nie mało dokładano usiłowań, aby wszczepić weń nienawiść do ro-

daków. Pokusom tym — i namowom do przejścia na prawosławie — oparł się młodzieniec, w którego łonie od dzieciństwa rozwijała się gwałtownie, odziedziczona po przodkach, miłość ojczyzny. Po wyjściu z korpusu wstąpił Różycki do szkoły artylerii, lecz wmieszany w sprawę Pietraszewskiego, zesłany został na Kaukaz w r. 1848 i tam przez dwa lata pełnił jako oficer obowiązki adjutanta batalionowego. Po odbytej karze udał się do Petersburga i wstąpił do Akademii wojennej. Ukończywszy ją, brał udział w wojnie krymskiej (w Turcyi azyatyckiej) i pod Karsem zdobył odznaczenie. Kilka lat po wojnie spędził na stanowisku kwatermistrza w Dagestanie.

Nad nieszczęśliwą ojczyzną naszą zbierały się tymczasem chmury. Ucisk bezprzykładny w dziejach oburzał przeciw rządowi i systemowi przezeń praktykowanemu wszystkie szlachetnie myślące jednostki. Nawet niektórzy Rosjanie wstręt czuli do służby pod sztandarami, które niebawem wyruszyć miały do walki przeciw nieszczęśliwemu, gnębionemu narodowi; z Polaków pozostali im wierni tylko ci, którzy zaprzedawszy się carowi duszą i ciałem, stali się najnikczemniejszymi narzędziami despotyzmu. Różycki w tym właśnie czasie przeniesiony z awansem na Ukrainę, jako naczelnik sztabu dywizji w randze podpułkownika, jeden z pierwszych podał się do dymisji, nie tając wcale powodów, jakie nim kierowały. Ofiarowano mu pułk, aby go skłonić do pozostania w służbie, ale zacny człowiek i patriota odrzucił ponętne propozycje. Aby znaleźć sposób do życia — gdyż nie posiadał majątku — pracował jako geometra, oddzielając grunta włościańskie od gruntów większych właścicieli ziemskich. Powstanie 1863 roku zastało go w Żytomierzu. Wezwany do Warszawy przystąpił natychmiast do organizacyi i rozpoczął najenergiczniejszą działalność. Uformował pułk jazdy wołyńskiej, tak dobrze znanej i zasłużonej w ostatniej walce i z nim odniósł pamiętne nad wrogiem zwycięstwo pod Sali-

chą na Wołyniu. Działalność w organizacyi i usługi sprawie narodowej oddane, usprawiedliwiają najzupełniej rozgłos i popularność Różyckiego w gronie wodzów naszego powstania, a nazwisko jego historya na kartach swych przekaże potomności.

Po upadku powstania wraz z wielu towarzyszami niedoli opuścił ojczyznę, udając się do Paryża na emigracyę. Posiadając zaufanie rządu francuskiego — z upoważnienia tegoż — zajmował się losem naszych emigrantów; on polecał rodaków posiadających kwalifikacye do posad, on wystawiał świadectwa i składał wiarogodne opinie o współziomkach. Po załatwieniu tych spraw z niezwykłą sumiennością i bezstronnością przyjął posadę urzędnika w *Crédit foncier*. Niedługo na niej wszakże mógł pozostać. Blokada Paryża, a następnie wojna domowa (komuna) jak wielu naszych rodaków tak i Różyckiego pozbawiły gościnnego przytułku. Powróciwszy do kraju, osiadł w Krakowie i przyjął obowiązki urzędnika w Towarzystwie wzajemnych ubezpieczeń. Na skromnem tem stanowisku dokonał pracowitego, pełnego zasług żywota, zaskarbiwszy sobie, jak wszędzie tak i tutaj, miłość i szacunek towarzyszy pracy. Pogrzeb zmarłego był piękną i godną jego pamięci manifestacyą czci i uznania dla wielkich zasług bojownika o wolność narodową. Z dalekich stepów rodzinnej Rusi, z wielu stron kraju — gdzie jeszcze przebywają przyjaciele i towarzysze broni — znaleźli się liczni uczestnicy, by oddać hołd cnotcie, poświęceniu i wielkiemu patriotyzmowi zmarłego. Ukłasyły go do snu wiecznego dźwięki odegranej przez »Harmonię« pobudki, co go przez całe życie poila nadzieją, że »jeszcze nie zginęła«. Nad grobem ś. p. generała Różyckiego przemawiali: Ksawery Konopka, ks. Eustachy Szczeniowski b. kapelan obozowy, O. Wacław Nowakowski, kapucyn i p. Chylewski, prezes tarnowskiego »Sokoła«. Zwłoki złożono we wspólnym grobie powstańców z 1863 roku.

WŁADYSŁAW PROKESCH.

TEOFIL LENARTOWICZ.

(Dokończenie).

Lenartowicz był zawsze szczerze religijnym. Najsilniej nawet związany duchem ze współtowarzyszami warszawskimi, nigdy nie odzywał się buntem jak Zmorski, ani sceptycyzmem jak Wolski, ani też podzielał panteistyczno-filozoficznych poglądów Norwida; w Rzymie wyegzaltował się jego duch religijny i tu była geneza wielu poematów powstałych pod wpływem otoczenia. Przemawiała do niego nie tylko Roma papieżka, ale i Roma starożytna. Ta znalazła swój wyraz w »Gładyatorach«, jest to jednak utwór słabszy. Epoki minione martwemi były dla Lenartowicza. Nie zdołał odtworzyć pożaru namiętnej miłości nieba, jaki wiódł na męczeństwo rzesze złożone zarówno z niewiast i mędrców, z młodzieńców i starców, jak nie odtworzył wspaniałej grozy starego świata. Temata te widocznie nie nasunęły mu się same pod pióro, ale zostały pracowicie wyszukane, bo odpowiadały prądom, które nim wówczas rządziły, i dlatego są nieraz piękną robotą, ale tylko robotą. Ażeby użyć muzycznego porównania, Lenartowicz posiadał na swej lirze jedną strunę, ton jeden, i w nim trzyma zarówno sielskie piosnki, jak heroiczną symfonię. Struna jego drgała miłością ojczyzny, i dla tego to arcydziełami jego po-

zostaną zawsze utwory rodzime, opisujące przedmioty, które tkwią w jego duszy i według własnego jego wyrażenia »skaczą, na każdym serca podskoku«.

Dla tego to poeta napisał piękny cykl poezyj, osnutych na tle ostatniego powstania, a »Bitwa Racławicka« pozostanie najdroższym klejnotem w jego artystycznej twórczości. Pomimo, że przedmiot się do tego nadawał, poeta nie próbował stworzyć epicznego poematu. Lirykiem pozostał i napisał rzecz jedyną w swoim zakresie. Opisuje on las, który porósł na roli, hojnie krwią zroszonej w pamiętnym miejscu naszego zwycięstwa — i marzenia o tym lesie starego żołnierza, który ujrzał znów Kościuszkę na siwym koniku, lud, wojsko, sztandary i Bartosza Głowackiego ze swymi kosynierami, biorącego moskiewskie armaty.

I zasypia stary żołnierz
Do białego ranka,
Aż się skończy sen cacanka,
Złota malowanka.
Torba jego
Koło niego,
A w torbie chleb suchy.
Na swobodę żołnierzowi
Gdzieś się gonią muchy...

Nie przeminieć co minęło,
Nie wydrzeć z pamięci,
Choćby człowiek rad zapomnieć,
Wraca mimo chęci.
Tyle czasu przeminęło,
Mój Ty mocny Boże!
Pług zaorał ludzkie kości
A serca nie może...

Prześlicznie opisuje poeta owe przeczucia niewiedzieć z kąd powstałe, które zwykle poprzedzają wielkie wypadki. Lud widział orły bijące się w obłocznej krajinie. Krążą jakieś przepowiednie, opowiadają sny dziwne.

Jędrzej stary, bardzo stary,
Co po nocach siada,
I wciąż słucha
Z kąd wiatr dmucha,
Znów o Polsce gada.
Coś go dręczy, jakby zmora
Z rana do wieczora.
O północy budzi ludzi:
Do wstawania pora...
Bąki bębnią w rokicinie,
Z góry woda płynie,
A staremu śni się w głowie
Że bębnią w dąbrowie.
Na krzyk ptasi
Woła Basi,
W polu zaśpiewanej,
Słuchaj jeno, pono nasi
Biją w tarabany.
Nikt nie wierzy ojcu zrzędzie,
W kraju cicho wszędzie.
Przecież serca przytakują:
Jednak to coś będzie.

Sprawdzają się przeczucia, ukazuje się polskie wojsko, a na czele

Jedzie, jedzie nasz Kościuszko,
Pod nim konik siwy,
Co naczelnik to naczelnik,
To już nasz prawdziwy.
Polska dusza w polskim ciele
I w polskiej sukmanie,
Jedzie, wiedzie na Moskali
Krakowskie powstanie.

Kościuszko najukochańsza to przez Lenartowicza postać; pisał o nim cały poemat, którego dotąd ukazały się tylko fragmenty. W »Raclawicach« głównym bohaterem jest lud polski. On to mówi, że za ojczyznę otrzymana rana, nie boli, i szcudło nie zacieży, i torba dziadowska. Sam poeta woła w uniesieniu:

I czuć kmiecia polską ziemią,
Polskę słyhać niebem,
W cudze strony
Zapędzony
Przez dziwne koleje,
Polskie wichry z tej sukmany
Polska złota wieje.

Stuletni starzec jakby w natchnieniu prowadzi wojsko manowcami na nieprzyjaciela, a dzieci, żeby mu się lepiej przypatrzyć, powłaziły na drzewa i jak chrząszcze obsiadły gałęzie. Każde słowo tej cudnej pieśni jest jakby z pod serca wyjęte, a swojskie obrazy jak malowanka złota, według wyrażenia autora, przesuwały się przed oczyma. Dźwięczy z niej nuta smutku i nadziei nieokreślonej a nieomyślnej, którą wszyscy nosimy w sercu.

Lenartowicz tłumaczył się nieraz, iż okoliczności nie dały mu nigdy sposobności walczyć za ojczyznę. W r. 1831 był dzieckiem, w 1863 był już starym; może nie tyle znękał go wiek ile słabe zdrowie i smutek tułaczy. Podobno także choroba nie pozwoliła mu wziąć udziału w zawierusze 1848 r. Całe życie ka-

szłał i skarżył się na piersi, a fizycznie wyglądał zawsze znacznie starszym, niż był rzeczywiście. W r. 1856, mając dopiero lat 34 był już zupełnie łysy. Służył ojczyźnie czem mógł i stokroć skuteczniej piórem, niżeliby uczynił wojując szablą. Tak, jak o Krasińskim powiedzieć można, iż czynami jego były pieśni. W roku 1850 napisał bardzo gorący wiersz, potępiający tych, co korzystając z łagodniejszego prądu w Rosji podali się do amnestyi i wrócili do kraju. Nazywa ich odstępami i woła:

Wiecie, że umarł kto
się śmierci boi.
Przeklęty, który zdejmą
wieniec krwawy,
Kto łamie pałasz, kto
opuszcza braci,
Kto się ubogiej swej
matki zapiera,
Kto krwią ojczyzny dłu-
gu nie wypłaci —
Taki — słuchajcie —
na wieki umiera.



tym wierszem właśnie Lenartowicz zamknął sobie na zawsze drogę powrotu i skazał się na tułaczkę tak długą, jak niewola ojczyzny.

W r. 1859 przeniósł się z Rzymu do Toskanii, a w r. 1862 ożenił się z Zofią Szymanowską, przy-

rodną siostrą Celiny Mickiewiczowej, i wraz z żoną zamieszkał na stałe w Florencji. Nie było mu jednak sądzonem posiadać tego, co jedynie osłodzić może dolę tułacza, własnego ogniska i rodziny. Śmierć opustoszyła je wkrótce. Z Włochami nigdy żyć się Lenartowicz nie mógł, unikał ich towarzystwa; nawet cudna natura — w obec tej mazowieckiej ziemi, jaką nosił w sercu — nie przemawiała do niego swym czarem. W albumie włoskim, mało spotykamy natchnienia; poeta zdawał sobie sprawę z piękności otaczającego krajobrazu, ale go nie ukochał. Czasami jednak opisuje trafnie »bezbarwne oliwne drzewa«, co »w powiewach szumią bez cienia«, czasem odezwie się w jego rymie malownicza nuta, jak n. p. w opisie Capri, który jak obraz Siemiradzkiego, posiada moc czarodziejską, przenosi nas w świat błękitów, a serce Italii, śpiewające w szumie morza, odzywa się w jego dźwiękach. Może zresztą sam Lenartowicz bronił się urokowi Włoch, bo w tymże samym wierszu, stosuje do siebie przestrożę, jaką Odyseusz dawał swoim towarzyszom, chroniąc ich od głosu syren — i tym sposobem daje mytowi szerokie zastosowanie, mówiąc:

Tułacz do swojej nie wróci,
Gdy cudzą ziemię ukocha.

Syrena włoska nie potrafiła zdobyć jego serca, bo zostawił je nadwiślańskiej. Wogóle przyznać to trzeba, poeci nasi nie byli rozkochani w czarach Italii. Mickiewicz w »Panu Tadeuszu«, porównyując dwa tak różne krajobrazy, dawał pierwszeństwo polskiemu. Brodziński, wracając z podróży do południowych krajów, witał z uniesieniem dobrze znane sobie drzewa:

Więc zwiastunki północy, wy jodły i sosny,
Drzewa mojej ojczyzny, witam was radosny.

LEONARD MARCONI.



POSTAĆ T. KOŚCIUSZKI

W PROJEKCIE DO POMNIKA POD GODŁEM »NIEPODLEGŁOŚĆ«, WYRÓŻNIONYM
NA KONKURSIE LWOWSKIM DRUGĄ NAGRODĄ.

A Jaśkowski nie poprzestając na przyrodzie, odtrąca od serca córy Włoch; przenosi nad nie głośno polskie kobiety. Lenartowicz więc, ostrzegając tułacza by nie ukochał obcej ziemi, był w tonie ze wszystkimi poetami naszymi.

W późniejszym wieku Lenartowicz nie składając jednak nigdy pióra, oddał się rzeźbiarstwu. Jest to jeden dowód więcej, jaki wpływ wywierało na niego otoczenie. Być może, iż do tego przyczyniła się i żona jego, znana malarka. Trudno bowiem uwierzyć, by jedynym powodem tego zwrotu miała być potrzeba zarobku, którego — niestety — nie dawała mu poezja. Do wszystkich utrapień Lenartowicza przyłączał się zawsze brak materyalny, tem cięższy dla niego, iż posiadał zawsze szlachetną dumę człowieka, który sam sobie chce wystarczyć. Pomimo znajomości z bogaczami polskimi, którzy w swoich wędrówkach zawadzali o Włochy, szukali go i chętnie dopomogliby mu w potrzebie, nie chciał on nic od nikogo przyjmować, utrzymywał się z pióra, z lekcji literatury, których udzielał w polskich domach, a potem z prac rzeźbiarskich. Przez lat parę miewał wykłady w uniwersytecie bolońskim o *charakterze poezji słowiańskiej*, naturalnie w języku włoskim, którym władał doskonale. W ostatnich latach otrzymywał z funduszu Szajnochy 1400 fr. rocznie, i ta mała sumka, dzięki niezmiernej oszczędności, wystarczała na jego skromne potrzeby. Gdy przyjaciele w kraju, mieli mu przyjść z pomocą składkami, oburzał się na to i pisał, że niczego nie potrzebuje, jakkolwiek za uskładane pieniądze zamówiono u niego pracę rzeźbiarską. Bezinteresownym był zawsze w wysokim stopniu, rozumiał też, iż chcąc zachować ową szlachetną godność, musiał rachować się z każdym groszem. Z tego powodu uchodził nieraz bardzo niesłusznie za skąpego. Ubogiemu — i dumnemu w dodatku — rozrzutnym być nie wolno. Zostało też po nim 7000 fr. Z tej sumy część pewną przeznaczył na odlanie w bronzie tablicy pomnikowej dla majora Stanisława Becchi, rozstrzelanego w czasie naszego powstania. Becchi był przyjacielem Lenartowicza. Tablicę — wmurowaną w kościele Santa Croce we Florencji, w tym panteonie włoskim — wyrzeźbił przed laty za cenę kosztu, ale nie będąc z tej pracy zadowolony, postanowił zastąpić ją inną, której projekt wygotował.

Umarł prawie nagle, bo wigilię śmierci spędził wieczór jeszcze u p. Jabłonowskiej. Powrócił do siebie, przed dziesiątą i zaraz uczuł się nie dobrze. Zawezwana przyszła pani Ogonowska i pani Jabłonowska; posłano po doktora, który uspokoił obecnych, mówiąc, że to nic. Wskutek tego zapewnienia panie odeszły do siebie, Lenartowicz pozostał pod opieką służącej swej Giovanny Santonni. Wkrótce jednak pogorszyło mu się, zaczął przewidywać, że to chwila ostatnia, i wołał po włosku: »Ojczyzno, bracia, już was nie zobaczę.« Służąca starała mu się przynieść ulgę; na próżno. Rano posłał ją znów po doktora, ale służąca odejść go w tym stanie nie chciała i przywoływała przez okno znajomą kobietę, zanim ta jednak nadeszła, poeta wydał ostatnie tchnienie na ręku Giovanny. W ostatnich chwilach pisał jeszcze do krewnego i przyjaciela swego, od którego dostałem następujące szczegóły. Śmierci spodziewał się Lenartowicz, bo pozostawił interesa i papiery we wzorowym porządku. Przygotował też do druku swoje utwory w trzech tomach i podzielił je według tematów, w następujący sposób: Tom I. Echa Nadwiślańskie, drobne klechdy, 1) Król Popiel, 2) Król kowal, 3) Kościuszko w Szwajcaryi, który to

utwór nosi także tytuł: *Zagraniczny pan*. Tom II. Album włoskie, Rafael, Fra Angelico, Michał Anioł. Tom III. Nowa lirenka. Zapewne podział ten uszanowanym zostanie, i stosownie do wskazówek i życzeń poety dzieła jego doczekają się kompletnego wydania, którego jest brak wielki. Biblioteka Mrówki wydała osobno: »Szopkę«, »Lirenkę«, »Bitwę Racławicką«, a w Krakowie w r. 1876 wyszło w drukarni Anczyca, — nakładem autora — cztery tomy wyboru jego poezyj.

Nie weszło tu jednak wiele pięknych utworów, których nie wiadomo gdzie szukać. Przytem wydanie zupełnie bezkrytyczne, nie jest nawet opatrzone datami poezyj; te co są z ostatniej doby mieszają się z najpierwszymi. Pomiędzy rękopisami nie znaleziono bardzo ważnego; był to poemat osnuty na temacie najżywotniejszym, najbliższym sercu Lenartowicza i naszemu — stosunków obecnych Polski. Czytał go przyjaciółom w r. 1891. Co się z nim stać mogło?

Do dzieł swoich zostawił poeta śliczną przygrzywkę, w której wypowiada się cały:

Pieśni nasze mazowieckie, wy serdeczne pieśni,
Za późnośmy się wybrali, trzeba było wcześniej.
Ani dworu, ani boru, świat na wskrós przegładnie
Oj zmieniło się narodzie, zmieniło porządkie.
Niechże się więc odmienią, miesiąc po miesiącu,
Przecie wszystko ma swój koniec, to coś przyjdzie w końcu.
I znów chata się wystawi, opatrzy, podeprze...
Będzie ja wam na złe wróżył? Powrócę na lepsze.
Co staremu w oczach ginie, to młody odszuka:
Krzepić nogi, nie zejść z drogi, na tem cała sztuka,
Więc baczenie mając swoje, a w piersi nadzieję,
Ani wam się nie pochmurzę, ni brodą pochwieję,
Ani powiem niema rady, bo zawsze jest rada,
A już pewno ta najlepsza co się nie powiada.
Albo ci to ziarno krzyczy, co człowieka żywi,
Więc jeżeli wam nie krzyczę, nie bądźcież mi krzywi.
Już ja taki z urodzenia, od samej kolebki.
Witajże mi polski ludu, wesoły a krzepki!
Znam ja ciebie dokumentnie, ty rodzinna chato —
Chcecie słuchać mojej liry, to ja jestem na to.
Nie obwijam mego słówka, jak inni bawelną,
Czego niema, tego niema, a ojczyzny pełno.
Bieda, nędza, miły Boże! a wesołość taka,
Że dziadowi patrzącemu, serce w piersiach skaka.
Hej! tak jakoś mi szeroko, jak Polska szeroka,
Słówka moje mazowieckie słodkie jak patoka.
Czegóż wy mnie czarujecie, powiedzcie mi przecie,
Czemu wy się lasy moje do mnie zielenicie!
Zmarnowałeś lata dziadu, po drodześ potracił,
Maszci brodę posrebrzaną, tożes się zbogacił.
A toć prawda Mazurówie, moje Kurpie, Gocie!
Kosy gwizdzą na jaworach, a żółwie na błocie,
Powiadankę wam przynoszę, nie krótką nie długą,
Jest ci u mnie onej przędzy, będzie i na drugą.
Stoją lasy pod chmurami, pod rosami łąka,
Przyjrzyjcie się szarej przędzy marnego pajaka.

W tej przygrywce odezwały się rzeczywiście najlepsze natchnienia Lenartowicza, odmalował się tutaj cały ze swą miłością, przechowaną do grobowej deski, z prostotą i cichym smutkiem — który wiejąc z każdego utworu — przenika każde słowo i tworzy atmosferę jemu właściwą. Polak tylko odczuć ją i zrozumieć potrafi, Polak odnajdzie w poecie to wszystko, co mu jest drogie, co mu drga w sercu, a co on oblekł swym talentem w właściwą sobie formę. Pomiędzy ostatnią przygrzywką a pierwszą »Lirenką« niema żadnej różnicy. Dziad siwobrody, jak to słusznie o sobie powiada, śpiewa tak samo jak śpiewał młodzieniec. Wypadki życia, miejsce zamieszkania, mało bardzo wpływały na twórczość poety, wszystko to miało dla niego znaczenie poboczne. W oczach i sercu miał zawsze jednakie obrazy. Jak sam powiada, »już ja taki z urodzenia, od samej kolebki«, więc mniejsza o to jakie

są te, co go otaczają. Mniejsza o to, jakim językiem mówią w koło niego. »Słówka jego mazowieckie« są zawsze »słodkie jak patoka«. Przeszedł przez życie zapatrzony w ojczyznę, którą nosił w duszy. Dla tego też zasłużył na nazwę narodowego poety. Zdo-

łał ująć w słowa to co czujemy wszyscy. Należy mu się cześć, bo przez długie lata cierniowego żywota, nigdy nie zniżył swojego tonu, a w pośród wrogich okoliczności nie zwątpił o swoich ideałach, nie stracił nigdy nadziei.

WŁADYSŁAW GROT.

PRZECZUCIE.

Zdaje mi się, że z głową na piersi schyloną
Pójdzie za moją trumną, pierwszy raz mnie bliska,
Nieznana mi z oblicza, nieznana z nazwiska,
Nieprzeczuwana nawet pod widzeń obsłoną.

Pójdzie, sama niewiedząc, czemu drży jej łono,
Czemu się do jej oczu żalosna łza wciska,
Czemu na moją trumnę chce patrzeć tak z bliska,
Czemu drgają jej usta, czemu skronie płoną?

Pójdzie, sama niewiedząc, czemu po mnie płacze,
I czemu jest zazdrosna o mnie tam, w tej trumnie,
I czemu smutna, że jej nigdy nie zobaczę?

To będzie ta kobieta, którą mnie przeznaczył
Los, ale ją zapóźno przyprowadził ku mnie,
A wpierw szczęście me zdeptał, życie moje spaczył.

KAZIMIERZ TETMAJER.

UROCZE OCZY.

KOMEDIA W CZTERECH AKTACH *)

(Dokończenie).

SCENA 6.

CIŻ SAMI. — KSIĄŻĘ.

KSIĄŻĘ (wchodzi z lewej. Chwilę się waha do kogo pierwszej ma się zbliżyć: do kasztelanowej czy do Tereni. — Po namyśle idzie do kasztelanowej, pochyla się i mówi ze wzruszeniem).

Pani kasztelanowo, zwracam dane mi słowo.

KASZTELANOWA.

Mości książe, pewno rozumiesz, jak mocno żałuję, że związek ułożony nie może przyjść do skutku. Widocznie Bóg tego nie chciał!...

TERENIA (zbliżyła się do księcia i podała mu rękę).

Dziękuję.

KAROLINA (n. str.).

Zkąd w niej taka śmiałość!

KSIĄŻĘ (mocno wzruszony).

Teraz chyba pani uwierzy, że pragnąłem tylko jej szczęścia.

SCENA 7.

CIŻ SAMI. — SZAMBELAN, MATYLDA.

MATYLDA (przeżrana, wbiega z prawej, za nią zadyszany Szambelan).

Straszna rzecz! okropna! pan Ludwik dosiadł jakiegoś dzikiego konia, który go unosi... pewno zrzuci!...

SZAMBELAN.

Pędzi w stronę zamkniętej bramy. Jeśli nim w nią uderzy...

PETRONELLA (za sceną).

Spadł!... ratunku! pomocy!... wody!

REJENT (z krzykiem).

Moje dziecko! (Wybiega, za nim książe.)

TERENIA (z boleścią).

Boże! (Wybiega).

KASZTELANOWA (powstaje i mówi do siebie).

Tylko z piersi ojca mógł się wyrwać taki głęboki krzyk boleści!... Gdzie Terenia? — także pobiegła. Kocha go... (po chwili) Karlo! co się dzieje?

KAROLINA (która pobiegła w głąb sceny i patrzy na prawo).

Leży omdlony... Rejent padł przy nim na ziemię... Znosi się od płaczu... Petronella i Terenia cuca pana Ludwika. Otwiera oczy... August wraca od studni z dzbankiem w ręku... O! babciu, widocznie nic mu nie grozi... Odzyskał zmysły, uśmiecha się do Tereni, wyciąga do niej dłonie... Podnoszą go... Nie! sam powstaje... Porusza się swobodnie... Idzie tu... idzie...

KASZTELANOWA (kreśli znak krzyża świętego na piersi).

Bogu niech będzie chwała! (Wychodzi na środek sceny, patrząc wciąż na prawo za kulisy). Pierwszy raz spostrze-

*) Autor zastrzega prawa swoje w obec scen polskich. (Przypisek Redakcyi).

gam w jego twarzy wielkie podobieństwo... Tak, tak, tak, te same rysy!... (Kreśli znowu znak krzyża świętego na piersi). Bądź wola Twoja, jako na ziemi, tak... (kończy szeptem).

SCENA 8-ma i ostatnia.

KASZTELANOWA, SZAMBELAN, MATYLDA, KAROLINA, HRABIA, KSIĄŻĘ, LUDWIK, TERENIA, PETRONELLA.

(Pierwsza chwila wytwarza ogólne zamieszanie. Wszyscy z kolei ścisną rękę Ludwika, otaczają go).

REJENT (płacząc tuli Ludwika do piersi).

Moje dziecko! moje drogie dziecko!

KASZTELANOWA (zbliża się i mówi wzruszona. — Wszyscy się rozstępują).

Panie Ludwiku, nic ci nie jest... nic?

LUDWIK (kulejąc trochę).

Lekkie stłuczenie nogi. — O! doprawdy dowody współczucia, jakie państwo mi okazujecie...

KASZTELANOWA (bierze go za rękę i mówi żywo).

Słuchaj! Powiedz: kochasz Terenię... bardzo?

LUDWIK (z szczerością i prostotą).

O!... kocham.

KASZTELANOWA.

Oddaję ci ją za żonę.

REJENT i LUDWIK (razem).

Ach! (Każdy z nich chwytając jedną rękę Kasztelanowej i całuje z uniesieniem).

TERENIA (rozrzewniona).

Dopuszczcie i mnie do babuni, do mojej najdroższej, najlepszej babuni. (Rzuca się przed Kasztelanową na kolana).

KASZTELANOWA (pochyła się nad nią i bierze jej twarzyczkę w dłonie).

A ty go kochasz?... bardzo? więcej odemnie?

TERENIA.

Jak ciebie.

KASZTELANOWA.

I będziesz szczęśliwa?

TERENIA.

Najszczęśliwsza.

KASZTELANOWA.

I zdrowa?

TERENIA.

Zupełnie. Po raz ostatni śniłam dzisiaj. Snem moim niebieskim obecnie — radosna rzeczywistość.

KASZTELANOWA (podnosi ją i łączy jej rękę z ręką Ludwika).

Masz. Bierz ją. A nie opuszczajcie mnie dopóki oczu nie zamknę.

LUDWIK.

Pozostaniemy przy tobie zawsze.

KASZTELANOWA (odprowadza rejenta).

Cóż stary przyjacielu, czy jesteś zadowolony?

REJENT (łkając po cichu).

Nie mogę... nie mogę wyrazić... mojej wdzięczności...

KASZTELANOWA (po cichu).

No! no... nie zdradzaj się. Patrzą na nas. (Prowadzi go do Szambelana i Matyldy). Wyplacisz im sumę żadaną.

Dnia 8 maja 1892 r.

(Zasłona spada).

MATYLDA.

O! babuniu kochana!

SZAMBELAN (stara się ująć ją za rękę).

Przezacna babciu, szanowna matrono...

KASZTELANOWA (cofa rękę ze wstrętem).

Nie mnie... Tereni podziękujcie. (Prowadzi Rejenta do Hrabiego i Karoliny). Wyplacisz im tyleż co tamtym.

HRABIA (z westchnieniem, jakby zrzucił straszny ciężar z piersi).

Och!... Wyjedziemy... Przyszłość hańbiącą zmażę...

KASZTELANOWA (do Karoliny).

Dobłą byłaś dla mnie. Po mojej śmierci Terenia o tobie nie zapomni. Panie Rejencie, co do tego wpiszesz osobne postanowienie w testamencie. (Całuje ją w czoło)

KAROLINA.

Babuniu! twój pocałunek najdroższym skarbem dla mnie.

KASZTELANOWA.

Wiem, wiem. (Idzie do księcia). Mości księżu, ciebie przepraszam. Chciałam inaczej, Bóg inaczej rozrządził.

KSIĄŻĘ.

O! pani kasztelanowo...

KASZTELANOWA.

Powinłam była pamiętać, że człowiek układa plany, ale ktoś wyższy ma władzę je pokrzyżować, dzieło zemsty zmienić w przebaczenie... lub miłosierdzie. (Po chwili). Co zamysłasz uczynić?

KSIĄŻĘ.

W kraju nie mam co robić. Wyczytałem w dzisiejszych dziennikach, że na drugiej półkuli, dwie republiki walczą z sobą obecnie. Żołnierz z krwi i usposobienia zaciągnę się do zbrojnych szeregów jednej z nich, aby wyćwiczyć się w rzemiośle wojennym, a może kiedyś ojczyzna mieć będzie we mnie godnego siebie obrońcę...

KASZTELANOWA.

To pięknie, to dobrze!

SZAMBELAN.

A ja chciałem ożenić cię z Rozprzycką.

KSIĄŻĘ (grzecznie, ale z ironią).

Dziękuję — ale, jak słyszałeś, już sobą rozporządziłem.

(Kasztelanowa, zmęczona, idzie ku ławce pod lipą. — Wszyscy malowniczo ugrupowani tworzą obraz na tle ogrodu).

KASZTELANOWA (jakby sobie coś przypomniała).

Panno Petronello!

PETRONELLA.

Słucham! (Idzie ku kasztelanowej, trzymając gazety w ręku). Z oczu pani kasztelanowej wnoszę, że to o gazety chodzi. Mam powiedzieć co z polityki słyhać. Czytałam, dalipan czytałam, ale jak prawdę kocham mówić nie mogę. Jestem taka szczęśliwa... Przecież ja Terenię wychowałam...

TERENIA (rzuca się jej w objęcia).

Moja ty dobra!

ZYGMUNT SARNECKI.

Z DZISIEJSZEJ POEZJI POLSKIEJ.

I.

FELICYAN FALEŃSKI.

(Dokończenie).

Dantego — w pojęciu Faleńskiego — przyznajemy, że mniej lubimy. Faleński uwydatnia w Dantem przede wszystkim mistyczną, metafizyczną stronę jego umysłu: rozplątanie się w średniowiecznej filozofii, spekulującej najwyższymi pojęciami Dobra, Łaski, Miłości. — Boska Komedia (z której kilkadziesiąt pieśni przetłómaczył) wychodzi w języku polskim bardzo niejasno, i trzebaby do jej tercyn dorabiać jeszcze obfitszy komentarz, niż ten o jakim myślał Słowacki.

Za to drugi wielki poeta, Ariosto, z którego »Orlanda rozszalałego« dał nam sporo ustępów Faleński, imponuje swoją wielkością. »Cudowna awantur girlanda« nie traci nic w przekładzie, zachowała tę samą lekkość, powiewność i ten fantastyczny koloryt iskrzącej się bajki. Udało się poecie bez archaizowania osiągnąć wrażenie starożytności języka, umożliwiające opowiadanie najcudowniejszych nieprawdopodobieństw dzisiejszemu sceptycznemu czytelnikowi. Tłómaczenie Kochanowskiego ciężkie, niezgrabne, lichym językiem pisane (tak, że wątpić przychodzi, czy możliwem jest wogóle, aby to było tłómaczenie tego samego, co nam po mistrzowsku »Jerozolimę« przyswoił) nie daje polskiemu czytelnikowi najmniejszego wyobrażenia ani o zalecanych fantazji, ani o wspaniałości opisów. Lessing, który się powoływał na przykład Ariosta, jako na mistrza opisów zmysłowej piękności (»Laokoon« XX), nie cofnąłby się przed przytoczeniem wielkiego poety w takim przekładzie:

Postać jej była... Jakież malarz zdoła
Odtworzyć pędzlem to rozkoszne ciało?
Włos się jej płowy w skrętach wił od czoła,
I niema złota, coby tak błyszczało.
Uśmiechem błogim kwitnie twarz wesół —
Róża się na niej żeni z lilią białą.
Nad podziw gładkie skronie tej piękności,
Zda się przybytkiem, gdzie sam spokój gości.

W ruchu jej każdym była moc więcierzy:
W uśmiechu, w mowie, w błysku żrenic, w śpiewie...
Więc nie dziw, że się Rogier jak najszczerzej
Rozszalał wprędce w tej kuszącej Ewie.
W przewrotność, w chytrość, w złość jej ani wierzy,
Mieniać być kłamstwem głos w zaklętym drzewie.
Bo nie wie nędzny, że to fałsz i zdrada,
W tak czarodziejskie złudy się układa. (II. 163).

Podziwiać rzeczywiście należy bogatą indywidualność tłómacza, który z równą łatwością obleka się w ciało Horacego, jak Juwenala, Ariosta lub Petrarki,

jak ascetycznego Jacoponego da Todi, zachowując za każdym razem wiernie koloryt tłómaczonego poety. Po Ariście, jak świetnie oddana canzona Filicai na cześć zwycięzcy z pod Wiednia:

... Czyż pojma ludzie, jeśli im się powie
Żeś ni z bojaźni, aniś przywdział zbroję
By państwo powiększyć swoje,
Lub, że ci z tego w późny czas przypadnie
Sława, gdy inni wzięli jeno znoje?
Gdyż wie Ten, co w niebie władnie,
Żeś w świata sprawie zgniótł pogańskie mrowie!
I czyż uwierzą, żeś Ty bezprzykładnie,
We własnej mogąc krainie
Spokojnie siedzieć, w bratniej biegł
usłudze
Królestwo ocalić cudze?
Żeś rzekł, swą głowę dając: Ja jedynie
Dla chwały Boga się trudzę, —
I żeś własnego syna w bój ochoczy
Wziął z sobą, aby śmierci zajrzał
w oczy? (II. 207)

Z Szekspira, co jest, —
przełożone jest z wielkim wdziękiem słowa, zwłaszcza, że tłómacz wybrał parę scen czysto lirycznych (»Troilus z Kresyda«, »Dwaj Talbotowie« i t. p.). Z poetów nowożytnych autorowie deklamacyjni i patetyczni, jak Schiller i Wiktor Hugo (z którego przełożono dużo) odczuci są bardzo trafnie:

— Czyż Hektorze z objąć mych na
zawsze
Iść chcesz, kędy żertwy coraz krwawsze
Śle Achilles za Patroklem w ślady?
Z kimże będzie odtąd syn twój mały
Bogi ccił i miotał grot i strzały,
Gdy mi ciebie Orkus wchłonie błady?
— Droga żono! wstrzymaj łzy. W bój
krwawy
Dusza moja pędzi. Ojców sławy
I ich prochów sam już tylko bronię!

Walcząc z wzrokiem wrytym w moje Bogi,
Jako zbawca ziemi mej bez trwogi
Niechaj wstąpię w mętne Styksu tonie. (I. 141).

Heine, Musset i Beranger nie odpowiadają wszelkim życzeniom, zwłaszcza w dwóch pierwszych zbyt mało subtelności i powiewności.

Wogóle »Przekłady« są dziełem, zwracającym uwagę, a Faleński obok Odyńca i Siemińskiego zdobywa sobie niemi miejsce w pierwszych szeregach. Sam niepoślednim poetą, sam pierwszorzędnym artystą będąc, ma tę właśnie nad tamtymi wyższość. Jestto w rzeczywistości rzeczą zdumiewającą, jakim sposobem może on dla publiczności pozostawać tak dalekim, tak obcym? Czyż mamy dobrych poetów do zbytku tak, że nam wolno o jednym niemal zapominać? Czy poza Asnykiem i Konopnicką stoi ich jeszcze tak wielu? Możnaż uwierzyć, że Faleński, w tym związku bezsprzecznie trzeci, nie jest prawie całkiem uznany? Rozpatrując szczegółowo jego poetycki dorobek, widzimy, że te ogólnikowe pochwały, jakimi

go od czasu do czasu prasa na kredyt (z tradycji niemal) darzy, są usprawiedliwione rzeczywistością. Na kimkolwiek więc ciąży wina zaniedbania i zapomnienia, jakimi dzieła jego są otoczone, dzieje się literaturze krzywda.

Poeta stoi w społeczeństwie sam, wyodrębniony od innych, inaczej myśląc, czując i rozumując. W tej samotności, w tem opuszczeniu duchowym, w tem niezrozumieniu przez współczesnych, leży cały smutek i cały tragizm jego zawodu. Błądzi po świecie, obcy otoczeniu, szukając wrażeń i łez, które przetwarza na pieśni. Ale do tego potrzebna mu świadomość, że jest ktoś, kto serce ucieszyć chce pieśniami jego — inaczej zawód jego traci rację bytu; poeta, który spostrzegł, że cała drużyna rozpierzchła się, unosząc zadziwione słuchy, zamiast rozkoszować się jego alcejskim śpiewem, nie przypadkowo zaiste, nie pod wpływem jakiegoś chwilowego rozgoryczenia, zerwał struny i w Letę cisnął niewdzięczne narzędzie. Cóż ma robić, jeśli stan taki przeciąga się trwale? jeśli lada bańka barwna, ale pusta, ściga na siebie oczy i uwagę, odrywając ją od wielkiej tęczy, z uczucia i fantazyi sple-

cionej, a rozpiętej wysoko na niebie? Wybuchu wtedy skarga, na grobowcach siada, karmiąc duszę wiotkim i kruchym smutkiem, niemych i głuchych mając tylko słuchaczy. Czy to na talent jego dobrze wpływa? czy o takim spokoju cmentarza myślał wielki Niemiec, twierdząc, że talent rozwija się w ciszy? Któż ocenić zdoła, ile literatura nasza straciła na moralnem wygnaniu, w jakim rozrastały się umysł i wyobraźnia twórcy »Beniowskiego«. Wszystkie niemal jego braki i niedostatki z tego źródła dadzą się wyprowadzić. Bo poeta, jak każdy artysta, potrzebuje laurów do życia. Inaczej gorzknieje w tej bezdusznej atmosferze chłodu, która mimowoli musi hamować jego zapał.

Jeśli więc społeczeństwo jednego z niewielu prawdziwych poetów, jakich ma, dozwala niemal całkiem ignorować, to wyrządza tem krzywdę nie tylko jemu, ale i sobie. Jesteśmy w prawdziwe talenta za ubodzy, aby dozwalać sobie zbyt — zaniedbania. Niema nic wstrętniejszego, jak uwielbienie mierności, niema nic boleśniejszego, jak lekceważenie talentu. A pod obu względami można u nas stawiać nieziszczone dotąd postulaty.

STANISŁAW ESTREICHER.

Z TEKI MIESZCZANINA POLSKIEGO.

(Dokończenie).

Orzechowski jest typowym przedstawicielem szlacheckiego XVI-go wieku; wszak jego program przyjął się też w narodzie (katolicyzm z zachowaniem wolności szlacheckiej), a dzieła jego zawierają niemal w sobie *in statu nascenti* wewnętrzną historię Polski XVII-go wieku, a ten Orzechowski głosi zacność mieszczańskiego stanu, ale napróżno, skoro mieszczenie sami stanem swoim gardzą. Oto we Lwowie rozrusza się mieszczaństwo i wyda wspaniały kwiat swojej inteligencji w osobie Szymona Szymonowicza; cóż z tego, skoro on będzie wolał być na starość ostatnim pomiędzy szlachtą, niż pierwszym we Lwowie, a sławę swoją będzie uważał tylko jako środek do przedzierzgnięcia się na wielmożnego Bendońskiego. Zimorowicz, burmistrz lwowski za Jana Kazimierza nie mógł już marzyć o szlacheństwie, bo już przestano tymczasem nobilitować »młodszą brać« gdzieindziej, jak na polu bitwy. Nadania herbu ludziom takim, jak Górnicki, Kromer, Sokołowski, Skarga¹⁾, Szymonowicz, świadczą bardzo pochlebnie o ówczesnej szlachcie, ale rozpowszechnione za temi przykładami łapanie herbów nie pochlebia bynajmniej stanowi mieszczańskiemu. Przesąd, jakoby tylko stan szlachecki był stanem znacnym i godnym praw, jest wobec tego dziełem nie szlachty, ale szlachcie przez tych kandydatów do szlacheństwa wypowiedzianym.

Nobilitacje te były klęską kraju. Najlepsze jednostki odrywały się ciągle od stanu mieszczańskiego, porzucając go, w czem bądźco bądź tkwi dla tego stanu pewna wzgarda. Wiadomo, że w XVI-tym wieku nobilitacja była łatwą, że przez szpary patrzano na sfalszowane szlacheństwa wywody, które królewskiem »potwierdzeniem« zyskiwały raz na zawsze sankcję. W ten sposób przemyciły się setki do stanu herbowego, nie będąc właściwie nigdy a nigdy nobilitowane. Gęstą chmurą rzuciło się nasze mieszczaństwo w tej pogoni za klejnotem i samo lekkomyślnie zabiło swój

własny stan, skorzystawszy z poczucia sprawiedliwości i liberalizmu szlacheckiej szlachty XVI-go wieku. Czy w ten stan sami również liberalne (w prawdziwie znaczeniu tego słowa) wnieśli pierwiastki, to bardzo wątpliwe, bo później, czem wątpliwiejszego pochodzenia był jak szlachcic, tem bardziej wykrzykiwał na »chamską krew«, a koło szlachty zamknęło się właśnie wtenczas, gdy połowa jej składała się z potomków uszlachconych mieszczuchów. Szkoda doprawdy, że nasza szlachta XVI-go wieku nie była mniej szlachećną, że nie była gorszą, że przyjmowała tych ludzi do swoich herbów. Ludzie ci, odpaleni ze swemi niepotrzebnymi pretensjami, byliby zostali w murach miejskich, jako przewodnicy i naturalni organizatorowie nowego w Rzeczypospolitej stanu, czynnie na widownię występującego, byliby dobijali się o prawa polityczne i społeczne nie dla siebie osobiście, ale dla całego mieszczaństwa, któreby uważali za pokrzywdzone w swoich osobach. Ambicya ich musiałaby się była zwrócić ku urzędowi miejskim, ku podniesieniu ich blasku i świetności i nie mielibyśmy przykrego widoku, że od Zimorowicza aż do czasów 3-go Maja, nie było już w Polsce intelligentnego burmistrza!

Literata zaś porządnego nie było również w stanie mieszczańskim od Zimorowicza aż do Staszica! Rzecz naturalna; bo skoro mieszczaństwo XVI-go wieku, to jest ci, którzy za ten stan są przed historią odpowiedzialni, t. j. najwybitniejsze tego stanu umysły, wydały w XVI-tym wieku hasło, że ambicya mieszczanina polegać ma na tem, żeby mieszczaninem być przestać, że nauka środkiem, a celem herb, w takim razie nauka nie miała racji bytu, odkąd za nią przestano herby rozdawać! Coraz mniej więc mieszczan poświęca się naukom, a analfabetyzm polski rozpoczyna też nie szlachta, ale mieszczaństwo polskie, którego burmistrzowie na prowincyi już w połowie XVII-go wieku podpisują się na aktach krzyżkami.

Literaturę polską pielęgnuje przez długi czas

¹⁾ Zob. pracę Czuczynskiego p. t.: »Piotr Skarga Pawęski«.

wyłącznie szlachta, to też nie mogły wobec tego żadną miarą zakwitnąć nauki. Cała ta literatura składa się z poezyi i pamiętników. Umiejętności ani śladu, bo nauka wymaga, żeby sobie z niej zrobić zawód główny życia, żeby się jej całkowicie poświęcić; to zaś możebnem jest tylko tam i wtedy, gdzie się wytworzy odrębny stan uczonych, uprawiający nauki, że tak powiem: cechowo, z urzędu, do czego znów trzeba, żeby stan ten był uposażony. Powstać może on zaś tylko z mieszczaństwa, bo tylko ono ma w tem interes bezpośredni, a uposażenia dobić się może tylko o tyle, o ile stanie się wybitnym w państwie i społeczeństwie czynnikiem. U nas ten stan nie powstał, bo pierwsi jego reprezentanci zrobili wszystko, co tylko było w ich mocy, żeby go nie wytworzyć. Nastąpiła rzecz dziwna; społeczeństwo, które wydało już Kopernika, Hozyusza, Górnickiego, Kromera, Skargę, nie zdołało zaaklimatyzować u siebie nauk, bo nareszcie przy dyskusji publicznej i przy słowie drukowaniem pozostała sama szlachta, która stosunek swój do literatury określiła bardzo trafnie przez usta jednego z najzacniejszych swych reprezentantów: »Nie próżnujące próżnowanie«. I nie było na to żadnej rady, bo szlachta, któraby chciała zawodowo uprawiać nauki, musiałaby osiąść w mieście, a w dalszych konsekwencjach narazić się może na utratę herbu. Literatura mogła być dla nich tylko rodzajem ubocznego zajęcia, zajęciem głównem musiał pozostać plug.

Nie z braku zdolności, ani nie z braku materiału — jednego i drugiego było podostatkiem — nie zakwitnęły u nas nauki, — ale dlatego, że nie wytworzył się zwarty stan uczonych, czujący swoją godność, któryby się przejął solidarnością interesów swoich jednostek, a łącząc je w jedną falangę, wytworzył

w jej łonie tradycję i ciągłość i samodzielność taką, ażeby nie oglądali się za cudzą klamką, ale przeciwnie na sobie samej polegając, byli wyłącznie tymi, którzy przed narodem kaganiec niosą oświaty, — przed całym narodem, a nie w tyle za jednym stanem.

Gdyby taki stan uczony powstał z łona mieszczaństwa, nie zabrakłoby mu kolegów z łona szlachty, która mogłaby być natenczas imać się nauki bez obawy sprowadzenia skazy na herb rodowy, a w następstwie tego stan ten wyobrażałby syntezę społeczeństwa do otrzymania której trzeba współprawnictwa wszystkich stanów. Dodajmy, że nauka potrzebuje do swojego rozwoju gruntu materialnego, potrzebuje, ażeby materialna strona życia była w właściwy sposób urządzoną. To zaś właśnie jest najsłabszą stroną dziejów naszych wewnętrznych, stroną do dzisiaj należycie nie uregulowaną i narażającą nas na dużo wysiłków bez rezultatu. Ale o tem innym razem. Wszak mieszczaństwo powinno być z urodzenia specjalistą od cywilizacyjnego urządzenia materialnej strony życia.

W dorywczym tym szkicu chciałem tylko podać pod dyskusję pytanie, czy to korzystnem dla nauki, gdy sławetny Góra pnie się na wielmożnego Górnickiego i czy bez takich objawów nie byłoby lepiej i nauce i szlachcie i mieszczaństwu, które ceniąc oboje jednako naukę, umiałyby się też najlepiej nawzajem uszanować i jako kto może do wspólnego dobra dopomagać w tej dziedzinie bez rodowej klasyfikacji. Chciałem też zwrócić uwagę, że ta rodowa klasyfikacja jest w Polsce dziełem nietyle nawet szlachty, ile samego mieszczaństwa, którego najinteligentniejsi reprezentanci byli najgorliwsi jej krzewicielami.

DR. FELIKS KONECZNY.

PIERWSZA MIŁOŚĆ ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

— Ta dusza, Edwardzie — czytamy w liście do Jaroszyńskiego — obleczona cieniami śmierci, z dwóch części się składa, z dwóch serc wyzionęta i teraz już jednością w wieczności! Chwila, kiedy opuszczała ciało swoje, straszną była, straszną, powiadam ci! Ach, gdzież to drugie ciało, opuszczone, martwe?... Ty je ujrzysz, ty odmówisz modlitwę wspomnień nad niem? Ty je pobłogosławisz! Nieprawdaż?

Wówczas też niechaj powie jej, iż pewny jest, »że ten człowiek kocha, kogo przyrzekł kochać«. »Jeśli się dowiesz — prosi przyjaciela w dalszym ciągu — o szczegółach różnych, to napisz pod adresem: *Simmy banquier à Vienne*. On mi odeszle tam, gdzie będę. Wybieram się ostatnich dni Decembra do Florencyi. Miałem jechać natychmiast po tym dniu, o którym ci wspomniałem« t. j. zaraz nazajutrz po wyjeździe pani Bobrowej z Wiednia.

Wolał jednak przeczekać kryzys cholery, panującej w Lombardyi.

Ale i »miła, rozkoszna Florencya« — gdzie zabawił kilka tygodni podczas karnawału (co mu przypomniało zeszłoroczny karnawał rzymski) a dokąd mu Sołtan z Rzymu przesłał kilka listów z domu i od pani Bobrowej — nie zdołała rozpedzić owych chmur tęsknoty bezbrzeżnej, pomimo, że w domu państwa Zamojskich, u których bywał co tydzień, znalazł pełno Angielek, Strzyżewską, »kapitał śmiechu«, Hermana

i Józefa Potockich; pomimo, że, jak powiada w liście ztamtąd do Sołtana, restauracye wysmienite, kawiarnie *nec plus ultra*; pomimo, że *havana* »kurzą się z ulic«; pomimo, że książek, żurnalów, gazet »więcej, niż potrzeba dla najuczciwszego człowieka«; pomimo, że Włosi »nie tak zakamieniali jak w Rzymie« etc. »nie w rozkosznym jestem humorze«, czytamy w liście do Gaszyńskiego¹⁾, a co gorsza, to, że w taką nieraz popadał apatyę, iż najobojętniej myśli o tem, »co będzie, co ma być, co być może«; do tego stopnia, że zdarzają się chwile, w których »już mi i oczy mojej kochanki, już mi i promienie słońca niemiłe«. Wie tylko, że mu »smutno, źle, gorzko«. Czemu? łatwo zgadnąć. »Rzadko się kochają ludzie na ziemi, a kiedy się kochają, niechże będą razem«... Niestety! »szczęście bez granic i zmiany jest marzeniem«, bo »bytu nie ma w zupełnej jedności: nie cierpieć wcale, byłoby nie być«. Życie ludzkie »to nieustanne przejście od dobrego do złego, od rozkoszy do bólu: żyć znaczy cierpieć i rozkoszować się naprzemian«. Po chwilach szczęścia nastąpił okres »próżni bez imienia, bez granic«, okres »nudy ogromnej, piekielnej, zimnej jak lód, po-

¹⁾ W liście tym z Florencyi 2 lutego czytamy, co następuje: »...ale od kiedy tyś o mnie nic się nie dowiedział, zaszły wypadki, które wstrząsnęły mną całym od stóp do głowy i od mózgu do serca«.

żerającej jak ogień», trudno! »Mgiel: tych, choć »mózg zaciemniają: nie zdoła nie rozproszyć.

W takim usposobieniu, na kilka dni przed wielkim tygodniem, pojechał uroczą stolicę Toskanii i pojechał do Rzymu na święta. Ale i tu, w wiecznym mieście, nie odzyskał owej wesołości i lekkomyślności, wśród których mu, kiedy był dzieckiem, »dni schodziły, gdyby motyle¹⁾. Zamiast, jak dawniej »śmiać się do muzeów, do kwiatów», błądził teraz, najchętniej sam, wiecznie zamysłony, po ulicach, i tak samo, jak w Wiedniu, nie sypiał po nocach, nie słyszał, gdy mówiono do niego. Cierpiąc »w głębi ducha», z drwinym często, niewymownym wstrętem — jeśli w czytaniu szukał zapomnienia — odrzucał książkę, przykładaną do oczu zboliałych. Czasami znów, kiedy, leżąc na sofie, słuchał muzyki Konstantego, powstawał nagle »w jakiejś rozpacz, obudzonej pięknoscią dźwięków», prosząc przyjaciela, ażeby grać przestał, ponieważ z odgłosem fortepianu wiązały się nierozłącznie widzenia senne owych »dni jedynych i zbiegłych», a między innymi owego Wielkiego Tygodnia z roku 1834... Tak »drżał na pewne wspomnienia», którym »czasem puszczał serce», ażeby po niejakiem czasie »odsunąć je od nich», tysiącami myśli powtarzając, jak Kartuzi: *Memento mori*. Zdawało się też, że, grając w wista z towarzyszami, lub sam układając *patryans* (bo i tego używał sposobu, »pasując się z szyderskim, niewidomym losem»), rzucał karty na stół, i płonąc gorączką od nagłego, spazmatycznego śmiechu, zaczynał ku niewysłowionemu zdziwieniu przyjaciół »sy-pać łarciki jakiegoś gorzkiego, zgryźliwego», poczem zapadał ponownie »w próżnię bezdenną, w milczenie kilkogodzinne».

Koloseum, ten pomnik starożytnego Rzymu, tak zawsze przemawiający do niego, dziś... jakby onie-miał. »Dzisiaj już głazy nie biją sercem dla mnie, jak dawniej».

Z odrętwienia tego wyrwała go chwilowo zawarta świeżo znajomość i przyjaźń z Juliuszem Słowackim, »małym człowiekiem, ogromem poezji obdarzonym od niebios», autorem »Maryi Stuart» i wielu innych poematów, dramatycznych, lirycznych i opisowych, w których dał dowód tak »różnobarwnej i giętkiej wyobraźni», jakiej, zdaniem Zygmunta, »Mickiewicz nawet sam nie miał».

Nie długiego też potrzebowali czasu, ażeby się poznać dobrze i, co za tem idzie, pokochać wzajemnie, jak bracia, jak Goethe i Schiller, jak Byron i Shelley.

Znał się z sobą niedługo, lecz wiele,
I od dziś kilka już są przyjaciółmi.

¹⁾ Zob. Listy do Gasińskiego, Rzym d. 22 maja 1836 r. nr. 100, jak i do tegoż czasu odnoszący się list Juliusza Słowackiego do matki, Rzym d. 21 maja 1836, t. II str. 233—238.

Podczas »romansowych wędrówek», jakie odbywali razem, bądź sami tylko, we dwóch, bądź wspólnie z Danielewiczem, Sauvanem, Sołtanem, Rajeckim i Żaluskim (który tegoż jeszcze roku zawiódł rękopis »Irydionu» do Paryża, do druku) »gadali po szalonym językiem imaginacji», o poezji, o dziełach swoich, o »Balladynie», którą Słowacki Zygmuntowi i towarzyszący jego przeczytał, o genezie »Kordyana», do autorstwa którego przyznał się Juliusz, o »Nieboskiej komedii», o ukończonym właśnie »Irydionie» i t. d. i t. d. Obfitego również tematu do rozmów, po za obrębem literatury, dostarczała im »bardzo miła osobka»: pani baronowej Richthoffen. Powiada Słowacki, że »słyszając tylko o tej pani, lataliśmy jak waryaty z Zygmuntem po willach włoskich, aby ją zobaczyć». W końcu, w ogrodzie Borghezich nastąpiło za pośrednictwem Aleksandra Potockiego poznanie i... rozczerwanie: rzeczywistość nie dorównywała idealowi, utworzonemu w bujnej wyobraźni młodych »szaleńców», którzy zamiast bawić »wiele gadając» baronową, będącą »z rodzaju naszych przymilających się i zwinnych kobietek warszawskich», woleli spędzać wieczory w ogrodach willi Mills, nasuwających Zygmuntem tyle czarownych wspomnień, i dumań z »rozemśleniem serca» o przeszłości: Krasieński o pani Bobrowej, Słowacki o panie Wodzińskiej. »Przy świetle księżycy, kiedy kwiaty wydawały dziwne zapachy, kiedy ruiny, otaczające tę willę, przybierały kształt duchów, a Rzym daleki w sińnej mgie tonął», rozmarzeni ciszą nocną, panującą dokoła, i śpiewem słowików, przesładywali tu nieraz tak długo, że słyszeli bicie zegarów miejskich, wydzwaniających północ, a wracali o pierwszych braskach przedświt. Wszystko to, razem wzięte, »odży-wiło nieco» nie tylko Juliusza, lecz i Zygmunta.

Zygmunt jednak, z chwilą, kiedy opuścił Rzym, zmuszony jechać do Kissingen, dokąd przybył 11 czerwca, opadł nanowu »okropne zmory». Budząc się z nich co rano²⁾, przez cały dzień następnie »na śmierć smutny był i nigdzie żadnej nie upatrując nadziei», szukał ratunku dla swojej »duszy męczonę, miotanej brakiem pokoju» we »wścieklej» grze w *rouge et noir*, pragnąc tym sposobem »czas, a raczej własne myśli zabić». Na wygranej nie zależało mu bynajmniej, bo nie grał, aby wygrać; tak samo, jak nie dbał o przegrane pieniądze, choćby to były ostatnie, jakie miał. »Na wszystko — powiada — gotów jestem, pocieszając się tą myślą, że jedno z dwóch zawsze wypaść musi: dyabli albo człowieka wezmą, albo to, co go trapi...». A jednak, mimo wszelkie rozumowanie, co moment nasuwała mu się refleksja: »Temu rok taki szczęśliwy byłem!»

²⁾ Listy do Gasińskiego, str. 81. Kissingen, 12 czerwca 1836 r. »Wczoraj przybyłem do Kissingen...»

FERDYNAND HOSICK.

(Ciąg dalej nastąpi).

KONIEC MORSTINA.

STUDYUM HISTORYCZNE Z CZASÓW JANA SOBIESKIEGO.

(Ciąg dalej).

Gdy Morstin uzyskał poddaństwo francuskie, bezwzględnie poszedł w służbę Ludwika; dla ambasadorów był istnym źródłem wywiadowczym, nie wahał się odśladzać przed obcym rządem poglądów dotkli-

wie szkodliwych dla polityki króla Jana. Kiedy w roku 1679 wyprawiono poselstwa do różnych monarchów chrześcijańskich z prośbą o posilki na wojnę turecką, do której starano się wciągnąć Moskwę, poruczono

ambasadę paryską wielkiemu podskarbiemu, jako najprzychylniej widzianemu w Wersalu Polakowi¹⁾. Morstin zamiast zgodnie z celem podróży troszczyć się całą duszą o pomoc, odwołał sam Ludwika od udzielenia poparcia zamierzonej lidze przez zwrócenie się, że Rzeczpospolita jest osłabioną, a więc trudno jej będzie dźwigać ciężar wojny, że na przymierze z Moskwą niewiele liczyć można, a jeszcze mniej na zwodnicze przyrzeczenia domu austriackiego, czyli, innymi słowy, projekta Sobieskiego narwał marzeniem²⁾. Wynurzenia podobne, sprzeczne z zasadniczą ideą misji zakrawały w uszach posła na zdradę sprawy, której miał być orędownikiem. Morstin w czasie pobytu we Francji nabył olbrzymie dobra i kupił urząd sekretarza królewskiego³⁾. Po powrocie do Rzeczypospolitej w podzięk za pracę zaczął pracować dla Ludwika, w jego rękach skupił się kłębek zabiegów francuskich partyzantów, dawał znaczne pożyczki ambasadorom. I znowu narzuca się pytanie, dlaczego — mając już i *indignat* i majątek ziemski i godność — nie przeniósł się jak najrychlej do Francji? Już widmo ligi świętej i wiążący się z nią cel poselstwa Morstina dokuczały niemało politycznym rachunkom Ludwika, przymierze Polski z Austrią spoczywało prawie jeszcze w powijakach, jednak w bliskiej przyszłości dojrzeć mogło, szala wpływów obu państw w Rzeczypospolitej lada chwila mogła się przechylić, naglejsza niż kiedykolwiek okazała się potrzeba czujności i zręcznych ludzi. Czy te okoliczności nie spowodowały zatrzymania się nadal Morstina w Warszawie⁴⁾. Skoro pozostał nadal w kraju rodzinny zrodziła się w jego głowie dziwna kombinacja i mieszanina pojęć, uznawał się poddanym Ludwika XIV i Sobieskiego zarazem; równocześnie chciał pełnić rolę senatora i ministra w Warszawie i dygnitarza przy dworze wersalskim, pragnął zobaczyć «obu swoich królów» związanych przyjaźnią⁵⁾. Jak potrafił godzić podobne sprzeczności — to tajemnica jego umysłu.

Spółcześni świadkowie jednostajne, jednobrzmiące prawie przekazały potomności świadectwo o zaletach i wadach podskarbiego, jakby te sądy usta jednego poddyktowały człowiekowi; widocznie pewne znamienne rysy charakteru w ostrych u niego występowały kontrach, każdego od pierwszego rzutu oka ogarniały. Pochodząc z podrzędnego i szczupłej fortuny rodu⁶⁾, imię swoje otoczył świetnością, majątek milionami pomnożył. Wszędzie i zawsze postępował ostrożnie i nadzwyczajnie przeczucie, należał do rzędu ludzi, którzy słowami starają się dogodzić wszystkim, aby nikogo, nawet najpodrzedniejszych sobie nie narazić⁷⁾. Ciekawe są listy Morstina, słowa w nich były jakby policzone,

a zwroty jakby okraszane, sposób wyrażania się odznaczał się w nich stałe urywkowością, mglistością, aby w razie dostania się ich w niepowołane ręce, można treść różnie tłumaczyć, w każdym razie aby nie mogła stanowić aktu dowodowego. Obawiano się jego skrytości, szanowano raczej w nim zdolności niż rzeczową wartość moralną, nie poskrapiono mu nazwy «wielkiego człowieka»⁸⁾. De Béthune krótko a dosadnie sportretował podskarbiego: «W całej Rzeczypospolitej jest to człowiek najbardziej oświecony i najbardziej zdolny do służenia»⁹⁾. Z powodu przebiegłości i zręczności używano go za Jana Kazimierza do otwierania listów de Lisoli do cesarza i na odwrót; on je przepisywał, a po przepisaniu oryginały znowu zapieczętowywał i na pocztę odsyłał¹⁰⁾. Morstin celował wykwintem ułożeniem, salonową galanterią i piękną swadą, okraszoną nierazdelko ciętym humorem. Humor ten był satyryczny¹¹⁾, uszczupliwy, nigdy nie wymuszony, z naturalnej skłonności tryskający. Umiał także zdobyć się na humor łagodny, pochlebny, głaskający miłe próżność i ambicję. Z powodu ostatniego przy-



JÓZEF SUPIŃSKI.

miotu domagano się powszechnie na sejmie r. 1672 powierzenia mu poselstwa do wysokiej Porty, aby «przezornym dowcipem» usunął smiech tureckiej wojny, wiszący nad Rzeczpospolitą¹²⁾. Jako wyrachowany finansista uważał interes za spekulację, darzącą większymi łaskami tego, kto się sprytniej zabrał do przedsięwzięcia i lepiej potrafił sobie radzić. Ambasadorom francuskim pożyczal pieniądze nie dla ułatwienia agitacji, nie dla przyspieszenia zwycięstwa polityki Ludwika, nie dla idealniejszych jakichś powodów, ale dla powzednięcia zarobku. Dostępcy zresztą cierpliwy de Béthune skarżył się na ciężkie warunki postawione przez Morstina z okazyi rokowań o pożyczkę i tylko w ostateczności zamierzał zapukać do jego kasy¹³⁾. Kiedy w roku 1678 posiadał u rządu francuskiego już 600.000 franków wierzytelności, miał na oku podwójny zysk, mianowicie przeniesienie z Polski do Paryża sumy potrzebnej do nabycia dóbr z oszczędzeniem znacznych kosztów transportu i zarobienie na zmianie pieniędzy. Oszczędny Colbert pokrzyżował te rachuby, policzył koszt transportu i zmiany po wekslarskiej stopie¹⁴⁾. Lubił Morstin gromadzić kapitał, lu-

¹⁾ List spusta podskarbiego Szcuki do Stanisława Szcuki z roku 1682. — Rękopis biblioteki wileńskiej, obecnie w archiwum Instytutu Powszechnych w Kraszewicach pod Krakowem, Volum. VI, nr. 210. Będzie smolną listę listów do St. Szcuki pisanych, zebrano i opiewano w oddzielne tomę nazwaną *Listami Szcuki*. Wszystkie we wzorowym porządku umieszczone są w Kraszewicach. Spisany za pomocą obowiązków sumienia, wysłując na ten miesiąc skromne podziękowanie szanownemu *Panu Franciszkowi Kluczyckiemu*, pod którego pięcym wspomnianie teki zostają, z który nim do nich łaskawie dostęp udzielił i wiele wskazówek udzielił.

²⁾ A. b. P. T. V, str. 120.

³⁾ Puffendorf: *Res gestae Frederici Vilhelmi Magni*, t. II, str. 146. — Kluczycki *Pisma*: *Acta hist. Poloniae*, t. VI, str. 28. Relacje anonimowe.

⁴⁾ Bony de de Lionne, t. I, c.

⁵⁾ Kluczycki: *Pisma do wia i spraw Jana Sobieskiego*, t. I, cz. II, str. 835. Opóźnione zbioru wydawnictwa akad.: *Acta hist. Poloniae* (A. b. P.) t. II.

⁶⁾ A. b. P. T. V, str. 1.

⁷⁾ Tamże str. 141.

¹⁾ A. b. P. T. V, str. 203.

²⁾ Tancet, t. VII, str. 1, 2 sq. Instrukcja dla biskupa de Beauvais i markiza de Vitry.

³⁾ Bonyen: *Mémoires*, Amsterdam 1700, str. 418.

⁴⁾ Holcl: *Listy Sobieskiego i t. d.* — Biblioteka sejmowa w Warszawie. R. 1860, cz. III, str. 119. (Dla skrótu cytować będziemy wydawnictwo Holcl'a z pomocą liter: *R. z. M.*)

⁵⁾ Depesza Bony'ego do de Lionne, t. I, c.

⁶⁾ A. b. P. T. V, str. 433. Akademia do pana de Croissy.

bił sknerstwo, pomimo to umiał zabłysnąć niekiedy pańską hojnością i wybierał w tym celu okoliczności, które mu mogły koronę zasługi obywatelskiej włożyć na głowę. Tak n. p. w przededniu wojny tureckiej w r. 1676, gdy straszne pustki zalegały w skarbie, ofiarował w podarku 60.000 złotych polskich Rzeczypospolitej¹⁾. Przyjaźnił się Morstin z wielu ludźmi, zwłaszcza za życia Maryi Kazimiry, szczególnie z koniuszym wielkim litewskim Bogusławem Radziwiłłem, z hetmanem Krzysztofem Pacem, z Stanisławem Lubomirskim, ale znaleźli się złośliwi, co zasadniczo podejrzewali wartość sentymentów podskarbiego i serdeczność dla Lubomirskiego tłumaczyli powodem, że nieboszczyk marszałek chował w biurku dokumenta, świadczące o nieszlacheckim pochodzeniu Morstinów²⁾.

Wyborny tkwił w Morstinie materyał na męża stanu, posiadał w tym kierunku istotnie wybitny talent, jak nikt pewnie sprytnie umotać umiał na poczekaniu intrygę, tańczyć między mieczami, potem wykreślić się — jak twierdzono — słomą i zostawić w dodatku przyjemne wspomnienie po bałamuctwie. Z przyrodzonych właściwości usposobienia pasowany był już na dyplomata, bo nie popadał w zbytnią wrażliwość, zawsze zachowywał przytomność, pozorną obojętność, czekającą cierpliwie, aż przeciwnik ustąpi, rozporządzał znacznym zasobem przenikliwości i potrafił przez nią wyzyskać każdą drobnostkę w odpowiedniej chwili; znał sztukę zręcznej, trzeźwej argumentacji i pobłażliwości dla słabostek ludzkich. Narzucać się nie miał zwyczaju, milczał, zwlekał, dopóki mu uległości nie objawiono. Dzięki sprytowi, salwował się z procesu na sejmie 1670 roku, chociaż najwięcej zawinił i na sowitą zarobił karę; podobno partya rządowa ręce z po-

wodu tego z radości za kulisami zacierała, gdyż sama domagała się odroczenia śledztwa przeciw niemu pod pozorem, że jako podskarbi, przywieść musi klejnoty na koronację królowej¹⁾. Potem wpadł proces jak kamień w wodę, zostawiając po wierzchu trochę wzburzenia. Na dworze warszawskim za Jana Kazimierza doskonale znano i uznano to uzdolnienie. Wydarzenie niemal wyjątkowe w dziejach poselstw Rzeczypospolitej, aby człowiek nie zaszczycony wysoką godnością, nie dzierżący ani kasztelanii, ani województwa, załatwiał ważne układy z zagranicą. Jeszcze w roku 1654 jeździł jako stolnik sandomirski dla wzmocnienia dobrych stosunków ze Szwecją²⁾, wkrótce ponownie odbył tę samą drogę w charakterze internuncjusza, dla zaświadczenia szczerzej chęci pokoju i dla zapowiedzenia przybycia przyszłych posłów, z powinszowaniem wstąpienia na tron Karolowi Gustawowi³⁾. Nowy monarcha opryskliwie wyraził się, że go witano przez podrzędną figurę i przezwiał stolnika »jakimś internuncjuszem«⁴⁾. W roku 1656 udał się na sejm cesarstwa do Frankfurtu nad Menem i wniósł skargę na książąt rzeszy o wspieranie Szwedów⁵⁾, umieścił jako komisarz Rzeczypospolitej podpis na traktacie oliwskim, widział go z mandatami dyplomatycznymi: Wiedeń, Berlin, widzieli i Węgrzy! Ustawiczne zajmowanie się ambasadami i połączona z niem częsta wędrówka koczownicza sprzykrzyła się wreszcie Morstinowi, chwilami wdychał do odpoczynku i ciszy, ale zaledwie jej zakosztował, porywał go wir politycznych kłopotów.

¹⁾ Szujski: Opat Paulmiers. Opowiadania i roztrząsania. T. IV, str. 238.

²⁾ Rudawski: Historia Polski i t. d. w przekładzie Spasowicza. T. I, str. 254.

³⁾ Tamże: List senatorów polskich do szwedzkich. T. I, str. 268.

⁴⁾ Tamże: str. 293.

⁵⁾ Tamże: T. II, str. 172.

ERNEST DEICHES.

¹⁾ Volumina legum. (wydanie Konarskiego i Pijarów). T. V, str. 381.

²⁾ Bonsy do de Lionne. l. c.

(Ciąg dalszy nastąpi).

K R O N I K A.

* W Krakowie pod przewodnictwem Augusta Gorayskiego obradował *Wiec katolicki* w ciągu dni trzech od 5-go do 7 lipca b. r. W posiedzeniach uczestniczyli i na nich przemawiali: nuncjusz apostolski Agliardi, Jego Eminencya książę kardynał Dunajewski, Jego Ekscellencya metropolita Sembratowicz, prezydent miasta Friedlein, prałat Chotkowski, prałat Jan Gnatowski, prof. Dr Jordan, prof. Dr Morawski, prof. Stanisław hr. Tarnowski, Andrzej hr. Potocki i w. i. *Wiec* zakończył się wycieczką do Wieliczki. Komisarzami, mającymi w czyn wprowadzić jego uchwały, wybrani zostali: prof. Dr Henryk Jordan, Antoni Wrotnowski, poseł Włodzimierz Kozłowski i Paweł książę Sapieha.

* Dajemy w dzisiejszym naszym zeszycie wierną reprodukcję postaci Kościuszki z pomnika, projektowanego przez prof. Leonarda Marconiego, odznaczonego na konkursie lwowskim drugą nagrodą. W jednym z następnych numerów *Świata* pomieścimy kopię całego pomnika, oraz inne projekty nagrodzone, o których już wspominaliśmy na tem miejscu.

* Cykl obrazów Piotra Stachiewicza, noszących ogólną nazwę »Wieliczka«, wysłany został z Warszawy do Londynu, gdzie wystawiony będzie na widok publiczny.

* Rozszerzenie Muzeum książąt Czartory-

skich przez dodanie dużego skrzydła, bardzo starannie przebudowanego z dwóch domów, stojących na rogu ulicy Pijarskiej i św. Jana, w stylu i charakterze głównego gmachu (dawny arsenał), żywo zajmuje uwagę, kochających mury naszego miasta. Tak inicjatorowi tej inteligentnej konstrukcji, jak architekcie, który ją planował, szczerze powinszować można dobrego smaku i pięknego pomysłu. Już dziś zdać sobie łatwo sprawę z całości budynku, ze wszech miar interesującego i na gorętsze zainteresowanie się zupełnie zasługującego.

* Michał Bałucki wraz z rodziną udał się do Rytra, gdzie spędzi letnie miesiące.

* Adam Asnyk wyjechał na lipiec i sierpień do Zakopanego.

* Maryan Gawalewicz — po ukończeniu tu większej pracy literackiej, dopełnić i objasnić mającej w osobnym wydawnictwie, reprodukcje z obrazów Piotra Stachiewicza, należących do cyklu »Matki Boskiej« — wyjechał do Warszawy.

* Teodor Axentowicz przybył do kraju na całe lato. Znakomity artysta maluje obecnie portret Władysława księcia Czartoryskiego.

* Jan Zacharyasiewicz po kilkodziennym pobycie w Krakowie wyjechał do Krzywicy nad Sanem.

* Aleksander Kraushar, w przejeździe do Karlsbadu, bawił w mieście naszym dni parę.

* Edward Porębowicz gościł w Krakowie dni kilka. Uczony badacz literatur romańskich powrócił do Paryża, gdzie go powołały stałe zajęcia delegata krakowskiej Akademii Umiejętności przy paryskiej stacji naukowej.

* Bronisław Grabowski bawił w Krakowie dni kilka.

* Andriolli, który kilka tygodni był ciężko chory, powraca powoli do zdrowia i w tych dniach udać się ma na rekonwalescencję do jednej ze stacji klimatycznych zagranicznych.

* Leonard Marconi, nadzwyczajny profesor rysunku i modelowania w szkole politechnicznej we Lwowie, otrzymał tytuł zwyczajnego profesora.

* Komitet powszechnej wystawy krajowej rozesłał następującą odezwę: »Sekcja XXII mająca przedstawić na powszechnej Wystawie krajowej we Lwowie w r. 1894 teatr i muzykę narodową, po dokładnem zbadaniu stosunków artystycznych, przyszła do przekonania, że obydwie te działy sztuki wzbogacają niemało wystawę powszechną, mimo, że dla ważnych powodów, nie mogą stanowić odrębnej wystawy teatralno-muzycznej. Działy te, reprezentowane w sposób okazowy, obejmą: 1. Instrumenta muzyczne, 2. Instrumenta ludowe, 3.

Instrumenta dawne, 4. Zabytki pamiątkowe, 5. Rękopisy dawne i nowoczesne, 6. Wydawnictwa, 7. Szkolnictwo muzyczne, 8. Teatr, 9. Fotografie artystów w zbiorze jak najbliższym, przeznaczone do dekoracji sali. Nadto, projektowany jest dla ożywienia Wystawy, szereg koncertów poszczególnych Towarzystw, artystów i wirtuozów. Komitet urządzający dokłada wszelkich starań, aby obydwie te działy, mimo, że pod względem rozmiarów zamknięte są w pewnych granicach, przedstawiły się jak najświetniej; usiłowania te jednakże choćby najgorętsze, nie będą uwieńczone pomyślnymi rezultatami, jeżeli Komitet nie spotka się z gorliwą pomocą wszystkich naszych Towarzystw muzycznych i śpiewackich, kompozytorów, artystów wykonawców i dyrygentów, krytyków i literatów, muzyce swe pióro poświęcających, pedagogów muzycznych i przemysłowców, sporządzających instrumenty. W pierwszym więc rzędzie odnosi się Komitet (Lwów, ulica Jagiellońska, 15) do wszystkich pracowników na polu sztuki, następnie zaś do wszystkich miłośników muzyki i teatru, tak licznych wśród społeczeństwa naszego z prośbą o gorliwe i energiczne wzięcie udziału w wystawie, licząc zaś na poczucie obywatelskiego obowiązku jak i na zamiłowanie sztuki, pewnym jest, że zawód go nie spotka. We Lwowie dnia 6 Lipca 1893. Dyrektor Wystawy: *Marchwicki*. Sekretarz Wystawy: *Jan Kazimierz Zieliński*. Przewodniczący Sekcji XXII: *Dr Aleksander Tchorznicki*. Referent Sekcji: *Stanisław Niewiadomski*.

* Adam Dobrowolski, dziennikarz i literat, połączył się związkami małżeńskimi z panną Stanisławą Szczepankiewiczówną (Dziuryt), artystką dramatyczną teatru hr. Skarbka we Lwowie.

* W d. 18 b. m. pobłogosławiony będzie w Fryburgu szwajcarskim związek małżeński między Drem Józefem Kallenbachem, profesorem fryburskiego uniwersytetu, a panną Franciszką Pittet, córką Alfreda i s. p. Adeli z Jungów Pittet.

* Proszeni jesteśmy o umieszczenie tego, co następuje: »Lwowskie Towarzystwo Śpiewackie »Echo« urządzi w czasie od 2-go do 15-go sierpnia b. r. wycieczkę artystyczną po miejscowościach galicyjskich, a głównie zdrojowiskach. W wyborowym komplecie 16 śpiewaków odwiedzi »Echo«: Truskawiec, Rymanów, Iwonicz, Żegestów, Krynica, Szczawnicę, Rabkę i Zakopane, a z powrotem zatrzyma się w Stryju. Dochód z tych 10 koncertów przeznaczycie »Echo« na cele Tow. Szkoły ludowej. Na program ich złożyły się wyłącznie utwory naszych kompozytorów. Obok śpiewaków bierze udział w wycieczce członek »Echa«, a znakomity artysta-skrzypek p. Lepianka, nauczyciel gry skrzypcowej w Stanisławowie.

* W Monachium w roku bieżącym otwarto aż dwa salony. Jeden w pałacu kryształowym, jak zwykle urządzony przez stowarzyszenie *Kunstgenossenschaft*, drugi: »secesjonistów«. W pierwszym, — między innymi — mieszczą się prace naszych artystów: Brandta, Czachórskiego, Kowalskiego, Olgi Boznańskiej, Rozena, Kraszewskiej; w drugim ukazać się ma tryptyk Wacława Szymanowskiego, tudzież obrazy: Romana Kochanowskiego, Antoniego Kozakiewicza i wielu innych.

* Nakładem towarzystwa imienia T. Kościuszki wyszła w trzech oddzielnych książeczkach broszura Eustachego Śmiałowskiego, nosząca w edycji polskiej tytuł: »Pamiętka z Kopca«, we francuskiej: »*Souvenir du tertre*«, w niemieckiej zaś: »*Andenken an Kosciuszko-Hügel*«. Ze względu na treść jej umiejętnie opracowaną, polecamy ją gorąco czytelnikom naszym. Wydanie bardzo staranne zdobią: portret bohatera, kopiec jakim jest dzisiaj i jakim był w r. 1826.

* P. Antoni Siemaszko, artysta sceny na-

szej udał się do Warszawy na występy gościnne.

* Występy gościnne Bolesława Leszczyńskiego artysty dramatycznego teatrów warszawskich w *Narodnim Divadle* są seryą prawdziwych sukcesów.

* Otrzymujemy następującą odezwę: »W dniu 12 września b. r. przypada 70 rocznica urodzin Kornela Ujejskiego. Z tego powodu w gronie obywateli miasta Lwowa powstała myśl złożenia hołdu Jeremiu. Podpisani ukonstytuowali się jako komitet dla obmyślenia sposobu najgodniejszego uczczenia poety. Przyjawszy za zasadę, że ten objaw czci powinien być poważnym i cichym, ale obejmować wszystkie warstwy naszego społeczeństwa, komitet uchwalił: 1) Na dzień 12 września b. r. wysłać adres do poety, opatrzony podpisanymi obywateli m. Lwowa. 2) W dniu 14 października b. r. urządzić w sali ratuszowej literacko-muzyczny wieczór na cześć poety. 3) Zająć się wydaniem chorału »Z dymem pożarów« z ilustracjami malarza Styki. 4) Uwiadomić inne miasta Galicji o powyższych uchwałach w tym celu, aby je zaprosić do wzięcia udziału w uczczeniu poety tak, aby on w 70 rocznicę swych urodzin otrzymał wyrazy czci i miłości od obywateli całego naszego kraju. Lwów, 4 lipca 1893. Przewodniczący: Dr Franciszek Smolka. Członkowie: Edmund Mochnacki, Jan Amborski, Platon Kostecki, Dr Ludwik Kubala, Dr Zdzisław Marchwicki, Karol Młodnicki, Tadeusz Romanowicz, Stanisław Rossowski, Dr Gustaw Roszkowski, Juliusz Starkel, Jan Styka, Albert Wilczyński, Dr Józef Żuliński.« — Utworzenie się komitetu i jego uchwałę witamy radośnie. Drugi to raz dopiero (jubileusz J. I. Kraszewskiego był pierwszym) składamy dowód żywotności narodowej w tym kierunku, oddając cześć talentowi i zasłudze — za życia.

* Komitet zajmujący się sprowadzeniem zwłok s. p. T. Lenartowicza i złożenia ich w grobie zasłużonych na Skałce zakończył swoją czynność rachunkową. Ogólna suma dochodu powstałego z subwencji i składek wynosiła 8,408 złr. 15 cnt. Rozchód zaś tylko 5,010 złr. 17 cnt. Pozostała kwota 3,397 złr. 98 cnt. rozporządził komitet w sposób następujący: 2,000 złr. na wieczyste stypendium im. Teofila Lenartowicza dla młodzieńca pochodzenia włościańskiego, kształcącego się w niższych szkołach rolniczych; 600 złr. jako jednorazowe wsparcie dla bratanka poety w celu dokończenia fachowego wykształcenia za granicą; 397 złr. 98 cnt. jako część kosztów na budującą się bramę wjazdową na Skałce; 200 złr. na wyrzeźbienie z marmuru tablicy pamiątkowej i wmurowanie jej w zewnętrzną ścianę domu, w którym mieszkał Teofil Lenartowicz we Florencji; 200 złr. wreszcie na wyrestaurowanie grobu Juliusza Słowackiego na cmentarzu Monmartre w Paryżu.

* Rada miasta Krakowa w d. 12 b. m. rozpisała konkurs na wydzierżawienie nowego teatru. Do dnia 26 lipca w południe przyjmować będzie pan prezydent do rąk własnych oferty i zgłoszenia kandydatów, ubiegających się o przedsięwzięcie teatralne w naszym mieście. Warunki dzierżawy mogą być przeglądane w biurze prezydialnem magistratu.

* Piąty zjazd chirurgów polskich odbył się w Krakowie w ciągu bieżącego tygodnia. Uczzone specjalne rozprawy nie wchodziły w zakres naszej kroniki. Zaznaczyć zatem tylko możemy, że kongres zgromadził liczne grono chirurgów, a wykłady ich i odczyty wywoływały ożywione dyskusje.

* Obrazy artystów naszych na wystawie w Chicago cieszą się wielkim powodzeniem. Większa część z nich prawdopodobnie znajdzie nabywców. Za »Po burzy« Tadeusza Popiela dają już 10,000 dolarów.

* Paderewski przybyć ma w sierpniu do

kraju, lecz nie dla koncertowania, tylko dla wypoczynku. Znakomity wirtuoz w jesieni zamierza udać się do Australii, wraz z Władysławem Górskim, znanym skrzypkiem.

* Zjazd literatów polskich odbyć się ma we Lwowie w r. przyszłym podczas wystawy krajowej.

* Jedna więcej smutna ilustracja do naszych stosunków. Bogaty i cenny księgozbiór s. p. J. I. Kraszewskiego, nie znalazł w Krakowie nabywców. Przewieziono go do Drezn, gdzie spoczywa w wynajętym na ten cel mieszkaniu, w pakach. Właściciele biblioteki — dla każdego Polaka, któryby ze zbioru tego chciał uczynić prywatny lub publiczny użytek — gotowi są do wszelkich możliwych ustępstw przy sprzedaży.

* Związek prasy zagranicznej w Wiedniu wydelegował był na kongres ogólnego związku dziennikarzy i literatów w Monachium, jako swego reprezentanta: Alfreda Szczepańskiego.

* Walne posiedzenie »Związku literackiego« odbyło się w d. 3 lipca wśród licznie zebranych członków. Głównym przedmiotem rozpraw był projekt połączenia się z krakowskim »Kołem artystyczno-literackim«. W długiej i konsekwentnie przeprowadzonej dyskusji, kilku wybitnych mowców położyło nacisk na to, że stowarzyszenie z wysokim i wielce szlachetnym zakresem działalności, poświęcone niemal całkowicie celom literacko-naukowym, cieszące się już pięknym plonem swej pracy, nie może ani utonąć ani rozpląnąć się w zgromadzeniu, wprowadzie bardzo sympatycznym, ale którego jedynym zadaniem (jak wielu innych resurs i klubów) jest tylko rozrywka towarzyska. Uchwalono zatem *jednomyslnie* utrzymać nadal całkowitą odrębność »Związku«, a chwilową kryzys finansową zażegnano podniesieniem składki miesięcznej z guldena na 1 złr. 50 cnt. Nie wątpimy, że »Związek literacki« — wierny swemu pięknemu programowi i tradycji — z jesienią, w nowym lokalu, zajaśnieje nowo dawnym blaskiem, gromadząc w swej czytelni wyborowe grono utalentowanych pisarzy, uczonych, oraz ludzi poświęcających się naukowej i literackiej pracy.

* Kilka pism rosyjskich pomieściło w ostatnich czasach kilka najświeższych nowel Henryka Sienkiewicza. Między innymi *Kijewlanin* dał czytelnikom swoim przekład »Organisty z Ponikły«.

* W sprawie fundacji s. p. Wiktora Osławskiego, jeden z dzienników miejscowych otrzymał od prof. Dra Fryderyka Zolla następujące pismo: »Jak wiadomo, zapisał s. p. Wiktor Osławski na fundację edukacyjną swego nazwiska 550.000 złr. w. a. w listach zastawnych galic. zakładu kredytowego we Lwowie. Administrację tego funduszu ma przyjąć Wydział krajowy. Z procentów mają być rozdawane rocznie cztery stypendya, każde po 2,500 złr. w. a. Polakom, pragnącym kształcić się na profesorów Uniwersytetów polskich w Krakowie, we Lwowie, lub Szkoły politechnicznej we Lwowie. Rozdawnictwo stypendyów służyć ma komitetowi, złożonemu z 5 osób, t. j. z prezesa i sekretarza jeneralnego Akademii Umiejętności w Krakowie, tudzież z każdorazowych rektorów Uniwersytetów w Krakowie i we Lwowie i Szkoły politechnicznej we Lwowie, albo z zastępców powyższych osób. Ubiegający się o stypendyum wykazać ma gruntowną znajomość języka polskiego, stopień naukowy, uzyskany na uniwersytecie, lub politechnice w kraju lub zagranicą; następnie ma wykazać, że jest albo prywatnym docentem na uniwersytecie, albo nauczycielem, lub płatnym zastępcą nauczyciela gimnazjum, albo w szkole realnej w kraju lub zagranicą. Wreszcie musi złożyć program dalszego kształcenia swego, byleby nie w tem mieście, gdzie pełni swoje obowiązki. Nauki teologiczne wyklucza fundator ze swojej fundacji. Na referentów podań zaprosić ma

prezes Akademii profesorów tych przedmiotów, w których kandydat się kształci. Wypłata stypendyum ma nastąpić z góry na cały rok, może być jednak temu samemu stypendystcie udzielone stypendyum na rok drugi i trzeci. Fundator przyznać chce nawet pierwszeństwo stypendystom, którzy stypendyum przedtem pobierali, byleby na to zasłużyli. Następnie przyznaje pierwszeństwo tym, których wykształcenie jest pożądane ze względu na katedrę walcującą, lub walcować mającą, wreszcie tym, którzy się poświęcają studiom w naukach doświadczalnych, wymagających pracy w laboratoriach. Prace stypendystów, mających pobierać stypendyum na drugi lub trzeci rok, powinny być ogłoszone w pismach Akademii Umiejętności. Gdyby nie znalazło się odpowiedniego kandydata, suma stypendyalna przysięga do kapitału. Na druki, pisma, tudzież na koszt podróży członków komitetu przeznacza fundator odsetki od 30.000 złr. Odsetki od 80.000 złr. przeznacza fundator na roczne zapomogi po 700 złr., najwyżej 900 złr. dla młodych wykształconych, którzy powracają do kraju, po zupełnem ukończeniu nauk i nie mogą znaleźć natychmiast miejsca zarobkowego — ale najdłużej na dwa lata. Odsetki z reszty kapitału podzielone być mają na dwie równe części, z których jedna przeznaczoną będzie na laboratorium Uniwersytetu Jagiellońskiego, druga na laboratorium Uniwersytetu lwowskiego i to w następujących warunkach: Kolejno w każdej z powyższych instytucji otrzymywać ma odsetki corocznie w roku I-szym pracownia fizyczna, w 2-gim pracownia fizyologiczna, w 3-cim pracownia mineralogiczna i geologiczna, w 4-tym pracownia botaniczna i zoologiczna, w 5-tym pracownia chemiczna. Pieniądze przeznaczone są na prace w laboratoriach i na badania naukowe, bądź to profesorów, bądź uczniów, na zakupno nowych przyrządów naukowych lub materiału niezbędnego do badania, aby młodzież miała większą sposobność do kształcenia się praktycznie na korzyść kraju i nauki. Pieniądze mają być wypłacane na ręce dyrektora pracowni, który niemi rozporządza dowolnie, ale składa Wydziałowi krajowemu rachunek. Przyrzady zakupione za nie, stają się własnością pracowni, ale w inwentarzu ma być uwidocznione, że zostały zakupione z fundacji Wiktora Oślowskiego. Gdyby postanowienia powyższej fundacji nie były wykonane, fundator unieważnia fundację i cały kapitał przeznacza na dwie szkoły w języku polskim celem kształcenia nauczycieli dla szkół ludowych i oddaje na ten cel jedną połowę kapitału pod zarząd miasta Lwowa, drugą pod zarząd miasta Krakowa.

* Towarzystwo dobroczynności w Kaliszu, wydaje na rzecz swoich ubogich, tak zwaną »jednodniówkę«, do której pierwszorzędnymi pisarzami nasłaniali mnóstwo aforyzmów.

* Zeszyt czerwcowy wychodzący w Moskwie *Russkij Mysl* mieści w sobie przekład legendy Henryka Sienkiewicza: »Bądź błogosławiona«.

* Wydział Tow. Bratniej Pomocy słuchaczy szkoły rolniczej w Dublanach, ogłosił drukiem doroczne sprawozdanie z czynności swej za czas od 15 maja 1892 do 15 maja 1893 r. Tak relacja sama, jak i cyfry w niej przytoczone świadczą o pomyślnym rozwoju stowarzyszenia.

* Otrzymujemy następującą odezwę: »Wysokie c. k. Prezydium Namiestnictwa pozwoliło komitetowi budowy ruskiego teatru narodowego, zbierać składki pieniężne na ruski teatr narodowy we Lwowie w całym kraju. Korzystając z tego pozwolenia, udajemy się do poważanych i wysokopoważanych ziomków bez różnicy narodowości i wyznania, do szanownych Rad powiatowych i gminnych, do

instytucji i korporacji i t. d., i t. d., z przyjacielską prośbą o szczerze poparcie dążenia naszego: aby wznieść poważny budynek teatru narodowego, jaki obecnie stał się niezbędnym dla oświaty narodu i dla rozwoju ducha narodowego. Teatr narodowy, według naszego programu, ma to być gmach okazały, majestatyczny, aby nie tylko był pożyteczny, ale zarazem służył też do przyozdobienia naszej stolicy. Nie omylimy się, żywiąc nadzieję, że odwołanie się nasze do bratnich serc naszych ziomków znajdzie u nich odgłos szczerzy; nie omylimy się, że na tej drodze znacznie się zbliżymy do urzeczywistnienia poważnego i świętego celu naszego. Dzisiaj bowiem narody umieją nawzajem cenić dążenia swoje szlachetne, przyjmować je duszą i sercem i w pomoc im przybywać, czem się przyjaźń, miłość i wzajemne zbliżenie wywołuje. Albowiem miłość rodzi miłość, nienawiść zaś jest matką złości i waśni. Tak więc ufamy, że głos nasz, obiegając po kraju, wszędzie po drodze spotka serca przychylnie sprawie naszej. Upraszamy nadsyłać datki do kancelaryi budowy teatru ruskiego, ulica Ormiańska l. 2 we Lwowie — a zarazem upraszamy świetne redakcje pism krajowych, aby życzliwie raczyły umieścić tę odezwę w swoich pismach, a oraz aby ewentualnie nadesłane do nich datki przyjmowały i nadsyłały je łaskawie do komitetu teatru ruskiego. Z komitetu ruskiego teatru narodowego. *Bazyli Ilnicki.*»

* Sprawozdanie dyrektora gimnazjum św. Anny w Krakowie za rok szkolny 1893 wydane w broszurze liczącej str. 88 mieści w sobie mowę wypowiedzianą przez prof. Juliusza Miklaszewskiego w dzień biskupiego jubileuszu Ojca św. Leona XIII.

* »Wielka encyklopedia powszechna ilustrowana« dobiegła już (Tom IX) do zeszytu siedmdziesiątego. Znać tu ciągłą staranność i jak najsumienniejsze wyczerpywanie olbrzymiego materiału, opracowanego może nawet pilniej i uważniej niż w niektórych encyklopediach zagranicznych.

BIBLIOGRAFIA.

Collection des Guides-Albums du touriste par Constant de Tours. — »Vingt jours à Tunis et en Tunisie« par Charles Lallemand. — Paris. May et Motteroz.

Współziomek nasz Constant de Tours (K. Chmieleński) stworzył w literaturze francuskiej nowy typ »przewodników«, cieszących się równie wśród czytającej publiczności, jak i w handlu księgarskim wielkiem i zasłużonem powodzeniem. Dziś i inni naratorowie, informujący turystów, jak odbywać krótkie wycieczki w obce kraje garną się do jego »kolekcji«, składając w niej wskazówki szybkich podróży, w których jednak podróżujący nie może pominąć wszystkiego co widzieć i poznać należy. Mamy przed sobą nowy tomik ze zbioru *guides-albums* naszego rodaka, chociaż tym razem wyszedł on nie z pod jego własnego pióra. Nosi on wymieniony już wyżej tytuł: »*Vingt jours à Tunis et en Tunisie*« (»Dwadzieścia dni w Tunisie i Tunetanii«), a zdobió go — jak dawniej — liczne ilustracje bardzo piękne i wybornie odbite. Czarnych naliczyliśmy 175, a akwarelowych piętnaście. Wszystkie nakreślone są przez wytrawnych i utalentowanych artystów. Przerzucając kartki tego zrecznika i barwnie, przez p. Karola Lallemand napisanego »przewodnika«, wydanego wykwinicie i oprowionego ślicznie, zdaje się czytelnikowi, że wędruje w krainie czarów, uroków i cudów, w prawdziwej krainie »Tysiąca i jednej nocy«.

»*Pisma Walentyny z Trojanowskich Horoszkiewiczowej.*« — Poezye. — Tom. I. — Lwów. Nakładem uczennic. 1893.

Uczennice ś. p. Horoszkiewiczowej (zmarłej — jak to podaliśmy w swoim czasie — d. 25 września 1891 roku) dla oddania ceniom swej przeznaczonej przewodniczki należnego hołdu, zebrały rozproszone po czasopiśmie jej utwory poetyczne i nakładem swym wydały w tym pierwszym tomie dzieł zbiorowych. Wydawnictwem następnych tomów zająć się ma rodzina. Cel publikacji objaśnia najwymowniej »słowo wstępne«, podając naprzód życiorys nieboszczki, niewiasty wielkich zasług, a następnie określając treść i zadanie tych zgromadzonych razem ulotnych kartek. »Nie o artystyczną wartość umieszczonych tu utworów chodziło wydającym, ale o tego zacnego ducha, który w nich żyje, o tę gorącą religijność, o przywiązanie do ziemi rodzinnej, o podniesione pojęcie przeznaczenia kobiety, o tę wreszcie łagodną prostotę, pełną pogody rezygnację, która z nich wieje, a jest tak różną od rozwielmożniających się dziś coraz bardziej w książce i życiu prądów. Z kart niniejszych dla znających ją (ś. p. Horoszkiewiczową) zdaje się, jakby rzeczywistość przegłądało łagodne oblicze zmarłej, są one jakby utrwaleniem jej żywego głosu.« — Wydawnictwo pod względem technicznym przedstawia się bardzo ładnie. Dobry druk, piękny papier i wytworna okładka, stanowią razem z treścią, bardzo miłą i interesującą całość.

NEKROLOGIA.

* W Zakopanem zmarł proboszcz miejscowy *X. Józef Stolarczyk*, sędziwy i powszechnie ceniony kapłan, prawdziwy przyjaciel i ojciec ludu górskiego. Znakomicie scharakteryzował go Stanisław Witkiewicz w swoim ślicznym dziele »*Na przełęcz.*« Zmarły był wiernym druchem ś. p. Dra Chałubińskiego. Cześć jego pamięci!

* W Krakowie zmarł *Józef Szczepański*, urodzony r. 1801, emerytowany dyrektor szkół, ojciec Józefata Szczepańskiego, naczelnika stacyi kolei Północnej w naszym mieście i Alfreda Szczepańskiego, znanego publicysty, stale zamieszkałego w Wiedniu. Pracując czynnie lat sześćdziesiąt na polu szkolnictwa, wykształcił kilka pokoleń na nauczycieli ludowych.

* Słynny powieściopisarz francuski *Guy de Maupassant* umarł w Paryżu w zakładzie obłąkanych. Był to jeden z najświetniejszych talentów tegoczesnych, a dzieła jego zbyt dobrze są znane naszej publiczności, abyśmy ich wartość potrzebowali omawiać w krótkiej nekrologicznej wzmiance. Pisać o nich będziemy obszerniej w jednym z przyszłych zeszytów *Świata*.

Odpowiedzi od redakcyi.

Pani Zofii W. we Lwowie. Mylnem jest mniemanie, że portret Chopina malowany przez Ary Schefera zaginął. Oryginał znajduje się we Francji, a dobra replika w Muzeum Czarotoryskich w Krakowie. Portretu malowanego przez Antoniego Kolberga nie widzieliśmy, wiemy jednak, że jest w Warszawie i należy do jednego z członków rodziny wielkiego kompozytora — *P. Alfredowi Steckiemu w Srodopolcu*. Dalszy ciąg i dokończenie komedii w czterech aktach »*Kraj*«, rozpoczętej i przerwanej w r. ubiegłym, drukować zaczniemy w korpusie następnego numeru *Świata*, większość bowiem prenumeratorów naszych wyraziła życzenie, aby pomieszczone były w zeszytach samych, gdyż dodatku — z powodu różnicy formatu — nie mogliby połączyć i oprawić razem z poprzednim rocznikiem. Czynimy zatem zadość ich życzeniu. Tym sposobem całość, chociaż rozdzielona i zamknięta w dwóch rocznikach, będzie pod względem typograficznym stanowić jednolitą całość.